Nr. 49 (1093). Warszawa, dnia 24 Listopada (7 Grudnia) 1901 r. Rok XXI.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 11 do 12 rano.
**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu 6 miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.





## POLITYKA.

**Tydzień polityczny.** Izba deput. we Francyi uchwaliła „pożyczkę chińską" w kwocie 265 mil. franków, 335 gł. przeciwko 213. W mniejszości są republikanie Meline'a, monarchiści i część socyalistów. Mowa Waldecka-Rousseau a podobała się w Watykanie. Missye dostaną odrazu wynagrodzenie. Tajny raport gen. Voyron, oskarża je o podburzanie do mordów i rabunków. Autentyczności tego raportu nie stwierdzono; ale za to *Matin* i *Echo* podają wiarogodne dowody grabieży ze strony „dam" europejskich i zaboru sreber chińskich, dokonanego przez biskupa Faviera.

Constans wrócił do Stambułu; sułtan odmówił pozwolenia na wyruszenie w Dardanele drugiego okrętu stacyjnego Francyi.

*Kreuz Ztg.* przyznaje, że nauczanie religii po niemiecku jest błędem, ale zaleca uwiecznienie go: niepodobna okazywać słabości.

*Ostd. Rundschau* oskarża Sienkiewicza o intrygowanie przeciwko trójprzymierzu. Odruch krzywdy udziela się już Anglikom, tem snadniej, że źli są na Niemców za Chamberlaina. Piętnowanie się wzmaga.

Rząd pruski wyznaczył nowe fundusze na germanizacyę Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska *Berl. Neu. Nachrichten* piorunują na Polaków w Galicyi i w samem Poznańskiem.

We Lwowie d. 15 z. m. uczestnicy wiecu rozwiązanego przez policyę pociągnęli pod konsulat niemiecki; i tu policya ich rozpędziła. Rozeszła się już pogłoska o wyjeździe konsula. Burda uniwersytecka Rusinów kończy się wystąpieniem 417-u z instytucyi, którą znieważyli. Od Izby deput. ma zażądać Romańczuk natychmiast uniwersytetu własnego.

Arcyks. Ferd. Franc. d. 29 z. m. zawitał do Poczdamu.

Bülow miał d. 2. b. m. wielką mowę w obronie ceł agrarnych. Wielomilionowe petycye domagają się zaniechania podwyżek.

W Anglii ruch za Bullerem, któremu za gadulstwo rząd odebrał był ledwo co dane dowództwo korpusu I; wygwizdują Robertsa, naczelnego wodza.

Król Edward koronować się będzie dnia 25 czerwca 1902 r.

Wielki prorok narodu niemieckiego w Austryi, Wolf, okazał się nikczemnikiem żyjącym z łaski kobiet i złodziejem korzystającym ze stosunku towarzyskiego. Już go wyrzucono ze stronnictwa.

W Stanach Zjednoczonych d. 3 b. m. zagajony kongres. Prezydent zaleca mocarstwom ściganie anarchizmu jako sprawy międzynarodowej. Taryfę zmieniać teraz byłoby nieroztropnie. Trzeba dążyć do traktatów na wzajemności opartych. Waluty złotej tykać nie wolno. *Trusty* są złem; zmniejszą je jawność i kontrola rządu. Handel powinien mieć swego ministra. Napływ ludzi z zewnątrz musi być powstrzymany. Doktryna Monroego ma na celu tylko bezpieczeństwo Ameryki. Stanom Zjednocz. zapewnić je może flota: tę więc pomnażać. Wzrost armii lądowych w Europie nie jest dla rzplitej straszny. W Chinach należy trzymać „wrota otwarte" — jak gdyby je kto zamykał! Wreszcie pragnie Roosevelt ratyfikowania traktatu z Anglią o kanał Nicaragua — panamski.

W Bononii odbył się d. 25 z. m. wiec robotników rolnych, z udziałem 800 towarzystw i 130,000 członków.

W Zachodniej stronie Caplandu jest jeszcze ruch wojenny. W Transwaalu była nowa potyczka. W Waszyngtonie niektóre mocarstwa usiłowały skłonić Unię do ujęcia się za Burami; ale rząd republikańsko-demokratyczno - humanitarny nie uznał podniety za dość silną. Nie było w niej dolarów.

Do Europy zawitał margrabia Ito.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### Z NAD WARTY I ODRY.

Silnie wzburzył opinię publiczną polskich dzielnic Prus wyrok w sprawie wrzesińskiej. Z pewnością kilkuletnia agitacya antypruska, prowadzona z całą energią, nie potrafiłaby tak pogłębić uczucia nienawiści, jak ten wyrok urągający wszelkim zasadom sprawiedliwości. Jeśli panowie hakatyści przypuszczali, że ostatni proces gnieźnieński będzie wodą na ich młyn, to się pomylili. Ten zapał, z jakim ludzie bez różnicy przekonań składają ofiary na rzecz skazanych i ich dzieci, dowodzi najlepiej, jakie uczucia wzniecił wyrok sędziów-hakatystów.

Ze wszystkich procesów, jakie wytaczano w ciągu ostatnich paru lat przedstawicielom różnych sfer społeczeństa polskiego, proces o wrzekome zaburzenia we Wrześni jest najcharaktorystyczniejszy tak dla szowinizmu pruskiego, jak i dla nastroju społeczeństwa polskiego. A czyż wobec tych Koralewskich, Winterów itp. przedstawicieli „cywilizacyi" pruskiej wszyscy ci szewcy, murarze, tokarze, piekarze i prości robotnicy, broniący swej godności ludzkiej i swych katowanych dzieci, nie są przedstawicielami wyższej kultury, pomimo że sądzą, iż Chrystus mówił z apostołami po polsku?

Charakterystyczne, że cała prasa niemiecka, z wyjątkiem organów socyalistycznych i katolickich, nie potępiła wcale praktyk germanizacyi szkolnej, przeprowadzanej za pomocą katowania. Te gazety, które nie posiadają się z oburzenia, kiedy chodzi o barbarzyńskie postępowanie Anglików w Afryce południowej, pochwalają sędziów gnieźnieńskich i cieszą się z ich wyroku. Doskonale napiętnował takie stanowisko *Vorwärts* berliński w artykule p. t. „Szkoła jako ka-

townia.“ Wykazuje on obłudę szowinistów niemieckich, którzy z powodu wybryków Kitchenera i Robertsa w Afryce gotowi są cały naród angielski ogłosić za bandę oprawców, gdy tymczasem w pruskim „obozie koncentracyjnym“ germanizatorów dzieją się gorsze rzeczy, aniżeli w Transwalu. Prasa centrowa nie mogła nie potępić ze względów wyznaniowych wyroku gnieźnieńskiego, ale uczyniła to w sposób przeważnie mdły.

W prasie śląskiej wre w dalszym ciągu polemika z powodu akcyi, rozpoczętej na Górnym Śląsku przez wydawcę *Pracy* poznańskiej, p. Biedermanna. *Katolik* w każdym niemal numerze zawiera ostre artykuły, skierowane przeciw „nieproszonym“ doradcom ludu śląskiego i broni z całą energią partyi centrum, posługując się coraz mniej wartościowymi argumentami. Tymczasem centrowcy jakby na kpiny zgotowali katolikowcom bardzo przykrą niespodziankę, dowodzącą, że centrum nawet swych najwierniejszych sojuszników polskich lekceważy w najwyższym stopniu.

W Bytomiu odbyły się wybory uzupełniające do rady miejskiej. Katolikowcy porozumieli się z komitetem centrowym, który w dowód swej wspaniałomyślności postawił w pierwszym okręgu kandydatów Polaków — dr. Spyrę i p. Bondkowskiego. *Katolik* naturalnie skorzystał z tego, ażeby pokazać „warchołom,“ że mądrą polityką pojednawczą można zdobyć ustępstwo centrum na korzyść Polaków. Ogłosił on kompromis bytomski za wzór ugody, jaka powinna być zawarta z centrum przy wyborach do parlamentu. Echa „tryumfu“ polityki katolikowców zdążyły dotrzeć do całej reakcyjnej prasy galicyjskiej, jak również do petersburskiego *Kraju*...

Tymczasem nadszedł dzień wyborów: „tryumf“ zamienił się w smutną porażkę. Polacy otrzymali—jeden 31 głosów, a drugi — 27. Natomiast ich przeciwnicy — Niemcy Krall i Kosmalla — 475 i 478 gł. Panowie centrowcy więc nie chcieli głosować za Polakami, wystawionymi przez własny komitet. W ten sposób „przezorne,“ dyplomatyczne stanowisko *Katolika* zgotowało jeszcze jedną porażkę i kompromitacyę Górnoślązakom. Mogą się pocieszać tem, że to nie pierwsza i nie ostatnia.

Ma się rozumieć, że prasa, głosząca samodzielność ludu górnośląskiego, skorzystała z faktu powyższego, ażeby jeszcze raz wykazać niepraktyczność polityki katolikowców i szkodliwość ich taktyki oportunistycznej. Zwłaszcza *Praca* poznańska, dążąca do utrwalenia swych wpływów na Górnym Śląsku kosztem wpływów *Katolika*, nie ustaje w krytykowaniu działalności tego pisma. Od nowego roku p. Biedermann ma wydawać już na samym Śląsku dziennik, głoszący zupełne zerwanie Górnoślązaków z centrum Nowe pismo w ciągu grudnia ma być rozrzucane codziennie w 50,000 egzemplarzach — bezpłatnie. *Katolikowi* więc zagraża bardzo poważne niebezpieczeństwo, tem bardziej, że nowe pismo, *Górnoślązak*. ma być codziennem. Na czele jego staje p. Korfanty, młody działacz i publicysta górnośląski, który dotychczas należał do grupki narodowo-demokratycznej, reprezentowanej w prasie przez *Dziennik Berliński* i *Gońca Wielkopolskiego*.

Na Górnym Śląsku więc rozpoczyna się nowa era walki w sprawie emancypacyi umysłowej i politycznej ludu polskiego. Walka ta przyniesie niewątpliwą korzyść Śląskowi, przyspieszy tętno jego życia politycznego i pozwoli ludowi górnośląskiemu przyjść szybciej do dojrzałości.

Należy pamiętać, że prasa dotychczas jest jedynem źródłem, skąd Górnoślązak może czerpać wykształcenie społeczno-polityczne. Zgromadzenia na Górnym Śląsku odbywają się niesłychanie rzadko, gdyż zwoływanie ich jest utrudnione. Przedewszystkiem prawie niepodobieństwem jest znaleźć mieszkanie na zgromadzenie, ponieważ policya i księża teroryzują właścicieli lokalów wszelkimi dostępnymi im sposobami. To też najczęściej w ostatniej chwili gotowi są oni zapłacić grube odszkodowanie zwołującym zgromadzenie, byle się nie narazić na szykanę policyi i księży, to znaczy — na odebranie prawa wyszynku trunków lub przyjmowania gości po pewnej godzinie, albo też na ogłoszenie bojkotu z ambony. Jeśli znajdzie się dość śmiały właściciel lokalu i da salę na zgromadzenie, to jeszcze są trudności innego rodzaju.

Oto np niedawno *Gazeta Robotnicza* zwołała zgromadzenie w Chawrowie. Zebrało się około 800 osób płci obojej. Kiedy przystąpiono do zagajenia, komisarz Medler protestuje przeciwko zebraniu i woła, że nie pozwoli na jego odbycie, dopóki sala nie będzie w porządku. Zdziwiony przewodniczący pyta — o co chodzi? Nade drzwiami muszą być plakaty z napisami: „Ausgang,“ „Nothausgang“ musi być otwarty. Postarano się więc natychmiast o parę kawałków papieru, wypisano na nich „Ausgang,“ otworzono siekierą tylne drzwi, których jeszcze nigdy nie otwierano, choć w tej samej sali odbywały się już zebrania niemieckie i zabawy z tańcami. Zwołujący chce już przystąpić do wyboru biura, kiedy komisarz oświadcza, że przy wyjściach powinny stać lampy — a było to o godzinie 4½ po południu. Oświadczono mu więc, że skoro się ściemni, to się zaświeci.

— Światło ma być przy wejściach, inaczej nie pozwolę na rozpoczęcie zgromadzenia! — woła komisarz.

Odkręcono lampiony i sala została zalana potokami światła elektrycznego. Znów zwołujący chce przystąpić do porządku dziennego.

— Nie pozwalam na światło elektryczne! — krzyczy znów Medler—nade drzwiami muszą być latarnie!

Zwołujący każe przynieść parę świec, ale komisarz protestuje przeciwko świecom i nalega na umieszczenie latarek olejnych. Wobec niemożliwości natychmiastowego dostarczenia tak anachronistycznych w XX w. środków oświetlenia, figurujących w jakichś przepisach pruskich z przed kilkudziesięciu laty, komisarz rozwiązał zebranie i kazał zgromadzonym opuścić lokal w ciągu pięciu minut, motywując swe zarządzenie jeszcze i tem, że drzwi sali, w której miało się odbyć zgromadzenie, otwierają się nie na zewnątrz, tylko na wewnątrz.

I zgromadzeni musieli z tajoną nienawiścią do władz pruskich opuścić salę, zdobytą w drodze wielkich usiłowań i kosztów.

Minął tydzień. Do tej samej sali znowu zwołano zgromadzenie. Wszystkie drzwi otwierają się podług przepisów policyjnych. W sali, zalanej słońcem, tajemniczo mrugają nade drzwiami dwie latarki olejne. Wszystkie warunki wypełnione, ale komisarz Medler spogląda podejrzliwem okiem po sali. Niektórzy ze zgromadzonych mają przy sobie laski. Komisarz spostrzega to i zabrania rozpoczęcia zgromadzenia, dopóki wszystkie laski nie będą ustawione przy ścianie. Nareszcie i to ostatnie niebezpieczeństwo dla państwa pruskiego usunięto i wiec odbył się bez dalszych przeszkód. Jeśli dodamy do tego, że w ciągu tygodnia policya i księża używali wszelkich środków, ażeby zmusić właściciela lokalu do odmówienia sali na zgromadzenie, to czytelnicy zrozumią, z jakiemi przeszkodami musi walczyć w Prusach wszelki ruch ludowy.

Wobec takich warunków prasa jest jedynym nauczycielem i kierownikiem ludu górnośląskiego. A trzeba wiedzieć, że lud ten przyzwyczaił się już do czytania gazet i nie może się bez nich obejść. To też pojawienie się *Górnoślązaka*, bez względu na intencye (dość poziomej natury) jego wydawcy, może przynieść tylko korzyść. Wszelka bowiem krytyka działalności katolikowców, opóźniającej dobrowolnie rozwój świadomości narodowo-politycznej Górnoślązaków, jest niezmiernie pożądana. Swoją drogą z działalności krytyków z *Katolika* będą korzystali ostatecznie nie wydawcy *Pracy* lub *Dziennika Berlińskiego*, ale żywioły, nie mające celów ubocznych, tylko otwarcie dążące do zupełnej emancypacyi Górnoślązaków — politycznej i społecznej.

*Pośrednik.*

## Murzyn w Białym Domku.

Niesłychany popłoch zapanował w Ameryce; zwłaszcza w Stanach Południowych wzburzenie umysłów ogarnia coraz szersze koła. Zwołują się meetingi, tworzą się stowarzyszenia, a część obywateli nawet zbroi się. Cóż się stało? Co wytrąciło yankees'ów z równowagi i odciągnęło ich wzrok od magicznego blasku złota? W ostatnich tygodniach zaszło, co prawda, kilka wypadków, dających do myślenia. Tak np. żony trzech miliarderów, urągające tradycyi republikańskiej, sprawiły sobie trzy najdroższe na świecie korony, będące kopiami europejskich koron oryginalnych i wkrótce zamierzają sprowadzić sobie z naszej części świata oryginalne berła i trony, poczem nastąpi urządzenie orszaków dworskich i gwardyj przybocznych. Czy jednak żony t. zw. „King-dollarów“ zdobędą się na utworzenie miniaturowych państewek o ustroju monarchicznym lub republikańskim, niewiadomo Dla tego też niepodobna, aby amerykanie fakt ten zbytnio sobie wzięli do serca. Wprawdzie zdarzył się inny jeszcze wypadek, ogromnie dziwny. Mam na myśli sensacyjną mowę pięciokrotnego miliardera Carnegi'ego, która obiegła po drucie telegraficznym cały świat. Rzecz się ma mniej więcej tak. Gdy Carnegi tego lata odwiedził niespodziewanie swego przyjaciela Rockefellera, posiadacza dwu miliardów, w letniej rezydencyi, zastał go w dziwnej pozycyi. Rockefeller nawpół nagi leżał w strzaskanej beczce niby starożytny Dyogenes i zajadał chleb razowy, maczany od czasu do czasu w garnku z wodą. Tu Carnegi odrazu zrozumiał tragizm wielkiego bogacza: możliwość zaspokojenia wszelkich potrzeb i zachcianek bez wyjątku stawia go na jednej desce z ostatnim nędzarzem i filozofem cynizmu, który również może zadowolić pożądania, albowiem ich nie ma. I oto przed kilku tygodniami Carnegi wygłosił na ten temat swą sławną mowę, dowodząc, iż pieniądz nie przynosi bynajmniej szczęścia: „Czem jestem ja—brzmi najwybitniejszy ustęp — ja, Carnegi w porównaniu z wędrownym aktorem Szekspirem i mrącym z głody muzykiem Ryszardem Wagnerem? Jestem ostatnim nędzarzem, cuchnącym żebrakiem w łachmanach.“ Mowa ta wywołała w istocie wielkie zamieszanie. Na giełdzie zaczęły spadać kursy „Żelaznego pająka“ (trustu), a stowarzyszenia zawodowe pracowników obawiały się, iż w przyszłości przedsiebiorcy amerykańscy na żądanie podwyższenia płacy będą odpowiadali: „Pieniądz przynosi nieszczęście. Nie chcemy was unieszczęśliwiać.“

W istocie ani jeden ani drugi wypadek nie wywołał owego straszliwego popłochu, o którym była mowa. Powód był zupełnie inny. Prezydent Roosevelt jakby urągając tradycyi i najświętszym uczuciom narodowym yankees'ów, odważył się przyjąć w swym pałacu, zwanym „Białym Dom-

kiem," murzyna Washingtona. Ażeby zrozumieć całą zgrozę i niezwykłość tego postępku, musimy uprzytomnić sobie na chwilę stanowisko, jakie zajmuje obecnie murzyn w Ameryce.

Przed laty 40-tu, jak wiadomo, toczyła się bratobójcza wojna pomiędzy północnymi a południowymi Stanami w obronie murzyna, świętych praw człowieka oraz wolności braterstwa i równości bez różnicy wyznania i rasy. Niewolnictwo, które dręczyło sumienie handlarzy północnych skruszono i, pewnego pięknego poranku, wszyscy obywatele amerykańscy, okazali się równymi. Ale, niestety, jak to zwykle bywa—tylko na papierze. W istocie bowiem żaden człowiek rasy kaukazkiej nie skompromituje się w oczach swych współobywateli, przestępując np. próg restauracyi, zwiedzanej przez murzynów. Wskutek tego, jak łatwo zrozumieć, parya czarny nie odważy się pokazać w przybytku ludzi białych, gdyż goście w oka mgnieniu opuściliby lokal dla uratowania swego honoru. Zwykle też gospodarz w tym wypadku wzbrania wstępu murzynom. Tylko w szynkach najgorszego gatunku stykają się po bratersku obydwie rasy, ale gospodarz jest w tym razie obowiązany mieć specyalne szklanki i talerze dla czarnych współobywateli. W teatrze tylko „Paradyz" — z amerykańska „Olimp" — jest przeznaczony dla murzynów. Dyrektor, któryby odważył się wykroczyć przeciwko temu zwyczajowi, naraziłby swe przedsiebiorstwo na niechybne bankructwo. Niedawno zresztą, gdy jakaś murzynka w jednem z miast południowych, niewiadomo jakim trafem, dostała się do krzesła pierwszego rzędu, publiczność „zlynchowała" ją na miejscu. W niektórych stanach południowych murzyni mają prawo jeździć tylko specyalnymi wagonami. Przepisów w tej mierze niema i być nie może, gdyż byłby to gwałt nad literą prawa. Ale koleje urządziły się bardzo pomysłowo. Zabraniają one tylko białym wchodzić do wagonów, w których znajdują się murzyni. Małżeństwa pomiędzy obydwoma rasami są również surowo zakazane, a stosunki nieślubne niemiłosiernie karane. Nawet kościół, który *w teoryi* nie robi żadnej różnicy pomiędzy swemi owieczkami, przestrzega bardzo ściśle różnic rasowych. Biada murzynowi, gdy się ośmieli zbezcześcić swoją obecnością świątynię „białych"! Oczywiście murzyni mogą się skarżyć i apelować aż do najwyższej instancyi. Mogą powoływać się na prawo, przed którego obliczem wszyscy są równi. Ale władza miejscowa, nie chcąc iść przeciwko prądowi, lekceważy jawnie wszelkie zażalenia murzynów i sama znęca się nad nimi prawdziwie po azyatycku. Pozostaje jeszcze parlament. Ale i ta instytucya nigdy nie odważy się ująć za murzynami. Zasiadają tam, co prawda, między innymi delegowani stanów o przeważającej ludności czarnej. Nie znaczy to wszakże aby odnośni posłowie bronili interesów swych „etiopskich" wyborców. Ci bowiem na Północy sprzedają swe głosy za gotówkę przy pośrednictwie osobnych agentur werbowniczych, zakładanych w tym celu podczas wyborów. Na Południu zaś, pomimo najszczerszej chęci, murzyn nie może wprowadzić w czyn swych praw wolnego obywatela, gdyż na mocy rozporządzeń policyjnych nie wolno mu zatrzymywać się w pobliżu lokalów wyborczych. W kilku zaś liberalniejszych stanach czarne „votting cattle" (bydło głosujące) przez wdzięczność stale wybiera kandydatów stronnictwa republikańskiego, które niegdyś wywołało ruch abolicyonistyczny. W ten sposób osiem milionów wolnych obywateli Ameryki demokratycznej, wbrew prawu, wbrew humanitarnej tradycyi niedawnej przeszłości, wbrew frazeologi drukowanej i głoszonej ustnie w miodopłynnych wyrazach, pozostaje na mocy milczącej zgody kilkudziesięciu milionów obłudników na stopie bezbronnych paryów i kanalii dręczonej wszelkimi środkami okrucieństwa ludzkiego.

Prezydent Roosevelt pierwszy wystąpił przeciwko temu barbarzyństwu i prawdopodobnie przypłaci czyn ten niepowodzeniem swej kandydatury podczas przyszłych wyborów. Zapraszając na obiad Bookera (księgarza) Waszyngtona, chciał on niestyle złożyć dowody tolerancyi, ile uczcić zasługi tego wielkiego humanisty, niezmordowanego szermierza emancypancyi własnych współplemieńców, zwanego powszechnie „Mojżeszem murzynów." Całe życie Washingtona było poświęcone sprawie stopniowego podnoszenia poziomu kulturalnego wzgardzonych i tyranizowanych, a co ważniejsza, zaniedbanych i pozostawionych własnemu losowi „czarnych nieponiów." Stany północne, uwolniwszy z pod jarzma afrykańskich nieboraków, uważały całą rzecz za załatwioną. Gdy przez ulice przeciągały procesye byłych niewolników ze śpiewem „The day of Jubilee has come — Hallelujah" („Dzień jubileuszowy nastał — Halleluja!!!) yankeesi, pogromcy plantatorów, odrazu wyrósłszy w oczach własnych i świata na wielkich bohaterów, wydymali dumnie swe piersi, klepali protekcyonalnie murzynów po plecach, lecz ani na chwilę nie zastanawiali się nad tem, co mają począć ci nieszczęśliwi ludzie. Starodawny liberalizm uważał wogóle za szczyt ideału „wolność" formalną polityczną, polegającą na wyzwoleniu z pewnych pęt, zapominając o tem, iż czarny, „wolny" najmita miał faktycznie tylko swobodę... umierania z głodu. Carlyle uwiecznił tę parodyę „wolności" w swej karykaturze murzyna, „obżerającego się arbuzami." Uszczęśliwiony przedewszystkiem ni stąd ni zowąd znalazł się w atmosferze wolnego najmu pracy i pewnej wolności osobistej, do których nie nawykł, a powtóre powiększył podaż siły roboczej. Rozgoryczenie mas pracujących z jednej strony a ogółu, który nosił u nogi nową kulę obowiązków humanitarnych — z drugiej, rosło nieustannie. Gdy zaś rząd dla zapobieżenia katastrofie obdarzył murzynów powszechnem i równem prawem głosowania, powstały organizacye, dążące do udaremnienia rezultatów tego dobrodziejstwa, powołano do życia tajne stowarzyszenia „Ku Kluk Klane" dla mordowania tych nauczycielek i nauczycieli, którzy mieli odwagę opiekować się murzynami, chcąc za pomocą oświaty wprowadzić ich na wyższy szczebel kultury, co jednak przysporzyłoby współzawodników warstwom średnim i niższym. Całe społeczeństwo Ameryki południowej—zarówno plantatorzy, których tak okropnie skrzywdzono, pozbawiając zdobytej krwawicą własności, jak rzemieślnicy i robotnicy powstali wszyscy przeciwko obrzydliwym, głupim i leniwym obcoplemieńcom. Znalazł się wśród tego złajdaczonego społeczeństwa atoli jeden mąż szlachetny. Był to generał Armstrong, założyciel pierwszej szkoły murzyńskiej. Pewnego dnia przybłąkał się do niego obdarty murzynek, który nie potrafił ani wymienić swego nazwiska, ani wskazać miejsca urodzenia. Pamiętał tylko, że się urodził w jakimś dalekim kraju, że go wraz z matką wieźli wodą jacyś źli ludzie, którzy katowali przez cały czas podróży wszystkich murzynów tak okrutnie, iż ci gryźli sobie ręce z bólu, a krew lała się strugami. W Ameryce sprzedano go wraz z matką do jakiejś plantacyi, lecz przybył tam mąż w uniformie i czytał coś długo z jakiegoś papieru, poczem matka zaczęła ściskać syna z radości. „Now my boy, now we aire free" (Teraz, chłopcze, jesteśmy wolni). Przybłędę do zakładu przyjęto. Roślinka egzotyczna, która marzła w atmosferze egoizmu i krucieństwa, rozkwitła pysznie w cieplarni miłości. Murzynek, który wiedział, iż biali istnieją po to, aby częstować swych czarnych braci w Chrystusie szturchańcami, policzkami i kopnięciem nogi, aby przedrzeźniać ich wymowę i wyśmiewać ich głupotę, wyrósł pod tchnieniem szlachetnej osobistości generała Armstronga na Bookera Washingtona, dobroczyńcę narodu (national benefactor), jak go nazwał Hervard University niedawno nadając mu tytuł honorowego profesora. Tu zarazem, w zakładzie Armstronga przyszły humanista, przyjrzawszy się zbliska swym współtowarzyszom niedoli, zrozumiał po raz pierwszy, jak należy nimi pokierować.

Wyszedłszy pewnego razu do ogrodu zakładowego, ujrzał dwu murzynów w cylindrach ale... zupełnie nagich i w dodatku z Aischylosem w ręku. Ta nie pozbawiona komizmu scena uwydatniła mu śmieszność wszelkiego połowicznego wykształcenia. Przedewszystkiem należało murzynów zapprządz do roboty. Zgodnie z tem, postanowił on w zakładzie otworzonym w Tuskegee nauczyć młode pokolenie pracy tak „aby rzeczy zwykłe wykonywali w sposób niezwykły." Jako fachowcy, mieli łączyć naukową znajomość zawodu z zadziwiającą zręcznością, przez co zyskaliby sobie szacunek swych współobywateli. Za podstawę zaś kulturalnego wychowania obrał on... szczoteczkę do zębów. Przybór ten stał się dla niego symbolem czystości, hygieny i staranności w życiu osobistem. W myśl wyłożonego programu odbywa się w zakładzie nauczanie najrozmaitszych rzemiosł włącznie z takimi zawodami, jak ogrodnictwo i owocarstwo. Dopiero z czasem, gdy potrzeba fachowej ręcznej pracy zakorzeni się i otrzyma prawo obywatelstwa w sferach murzyńskich, Washington zamierza wprowadzić swych wychowańców na szczyty ducha ludzkiego „Nie sposób odrazu kultury 15 stulecia przeistoczyć w cywilizacyę 20 wieku." Washington zwrócił po raz pierwszy na siebie uwagę i stał się przedmiotem gorących owacyj, gdy z okazyi wystawy rolniczej południowo-amerykańskiej, zakład jego potrafił bez wszelkiej cudzej pomocy zbudować i urządzić własny oddział. Washington sam miał wygłosić mowę. Gdy pierwszy murzyn wobec białych wystąpił jako mówca, zdawało się, jakoby rasa, która milczała przez setki lat, wypowiedziała odrazu w formie wstrząsającej to, co nagromadziło się w jej zbolałych piersiach. Wstyd, głęboki wstyd, ogarnął Amerykę. „Tak, jakeśmy niegdyś dochowywali wam wierność — zakończył swą mowę Washington — jakeśmy niegdyś karmili i piastowali wasze dzieci, pielęgnowali waszych ojców i matki i odprowadzali ze łzami do grobu najdroższe wam istoty—tak w przyszłości będziemy stali skromnie przy waszym boku, poświęcali dla was swe życie, jeżeli zajdzie potrzeba, i łączyli swoją pracę z waszą." A przez całą mowę przewijała się jedna myśl, która chłostała dotkliwie yankesów. Silny, uciskający słabego—wywodził on—wyrządza krzywdę tylko sobie: „żaden człowiek waszej rasy nie może skrzywdzić najmniej okazałego współplemieńca naszego, nie poniżając jednocześnie dumnych błękitnej krwi patrycyuszów Massachussetsu." Od tego czasu Washington zabierał niejednokrotnie głos w sprawie zatargów międzyplemiennych. Wciąż przypomina on, iż drogą wychowania można z murzyna zrobić czcigodnego obywatela. Obecny okres nieporozumień uważa on za przejściowy, po którym nastąpi ostateczne wyzwolenie paryów. W artykułach swych przytacza nazwiska współplemieńców, którzy wywalczyli sobie wybitne stanowisko społeczne, otrzymali medale złote, ukończyli uniwersytety itp. Przedewszystkiem zaś podkreśla, iż brak tradycyi i kultury oraz wielowiekowa hańba nie-

wolnictwa nie dadzą się za jednym zamachem wymazać z karty dziejów. Obecne wady murzynów są skutkiem ciężkiej zbrodni, popełnionej przez poprzednie pokolenia białych.

Dotychczas wyzwolenie murzynów spoczywa na ich własnych barkach. Swym krwawo zarobionym groszem utrzymują oni 52 tysiące czarnych księży i 30 tysięcy nauczycieli. Zakład w Tuskegee wypuszcza rok rocznie setki dzielnych wykształconych i pracowitych przedstawicieli nowej, uszlachetnionej rasy. Oprócz tego powstały niezliczone kasy samopomocy, zakładane za zachętą Washingtona przez murzynów. „Dążenie naprzód i wzajemna pomoc—pisze znawca tego ruchu—wśród klasy, której poprzednie pokolenie traktowano jak bydło, jest objawem iskry bożej, drzemiącej we wszystkich ludziach i świadczącej o ich równości."

Pod jednym względem atoli kolorowi parye stoją wyżej od „autochtonów" amerykańskich i mogą im służyć za doskonały przykład. Pomimo rozgoryczenia, pomimo bólu i chęci wyłamania się z pod pręgierza powszechnej prawdy, murzyn nie wre nienawiścią do swych ciemięzców, nie używa gwałtu i podstępu dla polepszenia swego bytu. Jeden z księży zarzucał właśnie murzynom ich zbytnią potulność. „Daleko więcej imponowalibyście nam — wołał „sługa Chrystusowy" — gdybyście się posługiwali przeciwko nam zbrojnym orężem." Na to odpowiedział mu biskup murzyński: „Strzelba sama przez się nigdy złego naprawić nie może. Słaby, ślepy Milton więcej dał światu szczęścia i światła, niż działa Kruppa. Wolę żebyśmy wszyscy wyginęli, niż mieli uciekać się do gwałtu." Inny murzyn pisze z tego powodu: „Przyjdzie dzień, kiedy murzyn da światu tłomaczenie nauki Chrystusa Nazareńskiego, która nareszcie otworzy rasom uprzywilejowanym oczy." Mniej ugodowo brzmi następujące kazanie czarnego biskupa, skierowane pod adresem yankeesów: „Jeżeli zdejmiemy z cywilizacyi waszej cienką osłonę, to okaże się, iż jesteście hordą dzikusów, dumnych z masowej rzezi istot ludzkich. Wskutek tego, nie potraficie rozwiązać zagadnienia antagonizmu rasowego, chyba za pomocą zupełnego wytępienia rasy słabej przez silną. Być wspaniałomyślnym dla rasy obcej, wyrosłej o własnych siłach, nie jest rzeczą łatwą dla was.

Każdy chyba przyzna, iż Roosevelt, zapraszając na obiad Bookera Washingtona, okazał wielki, niezwykły honor... „Białemu Domkowi."

*For.*

## REFORMA TEATRALNA.

W ostatnich tygodniach żywo zajmowano się sprawą teatrów warszawskich, które znalazły się w tak krytycznem położeniu, iż do uzdrowienia ich organizmu musiano powołać komisyę osobną, złożoną z literatów, krytyków i przedstawicieli władz.

Nie ulega wątpliwości, że w teatrach warszawskich źle się działo, dowodzą tego wymowne długi, sięgające poważnej sumy 200,000 rb. W tych warunkach instytucya musiała szwankować.

Bywały dnie, w których dochód dzienny nie pokrywał kosztów ogólnych utrzymania. Osiągano z „Wielkiego" rb. 240, „Letniego" rb. 180, „Nowości" rb. 580. Ten ostatni ratował jeszcze jako tako położenie.

Czyż miało to być dowodem, że publiczność rozmiłowała się w operetkach i farsach?

Nie, podobny wniosek byłby absurdem. Tu należy się zgodzić na uwagę p. A. Sygietyńskiego, który w swoim „głosie" mówi: „Teatr warszawski od pewnego czasu, miast hołdować kulturze estetycznej w najobszerniejszem znaczeniu tego słowa, tj. z jednej strony podnosić poziom ogólny sceny, z drugiej zaś wytwarzać sobie konsumentów rozsądnych, smakujących w w sztuce samej, uprawia gospodarkę opartą na znamionach nadzwyczajności."

W ostatnich czasach, artystyczni kierownicy teatrów przyzwyczajali stale publiczność do owych „nadzwyczajności." Mamy dowody. Przyjechał śpiewak sławny, pobierający rb. 750 za występ, znalazła się publiczność i teatr był zapełniony. Po wyjeździe tenora, opery z dobrą obsadą grywane są przy pustej widowni.

To samo co w operach, daje się dostrzedz w dramacie i komedyi. Niema tu żadnego planu. Wystawiane są sztuki dla ról popisowych i po kilku przedstawieniach schodzą z afisza. O balecie niema już mowy. Od lat 8-u nie zrobiono w tym dziale teatralnym nic, coby mogło zainteresować szerszą publiczność.

Wszystkie powyższe braki były rozpatrywane przez komisyę, która po wielu posiedzeniach ukończyła swoje prace. Uchwały jej z małymi wyjątkami uzyskały już zatwierdzenie władzy wyższej. Ważniejsze postanowienia obejmują następujące pozycye: W celach oszczędnościowych wydalono z teatrów 83 osoby, zmniejszono pensyę 10-ciu. Oszczędności te wyniosą 1902 r. 22,000 rb. (uwolnieni pobierać będą od d. 14 stycznia do października 1902 r. pół pensyi), a później 38,000 rb. Operę podzielono na dwa sezony: włoski i polski; pierwszy ma trwać sześć miesięcy, w ciągu których mogą być również dawane opery po polsku; drugi, trwający cztery miesiące, z operami śpiewanemi wyłącznie po polsku. Chóry mają śpiewać po polsku, w niektórych razach po włosku. Po polsku śpiewane będą również i opery kompozytorów zagranicznych. W lipcu i sierpniu przedstawienia operowe będą zawieszone. W sezonie wiosennym 1902 r. mają być wystawione dwie nowe opery polskie: „Livia Quintilia" Z. Noskowskiego i „Manru" I. Paderewskiego. Czterdziestu dziewięciu osobom podwyższono pensyę od rb. 30 do 300 na ogólną sumę rb. 4020.

W zasadzie postanowiono utworzyć posadę dyrektora artystycznego dramatu; obsadzenie jej jednak uległo zwłoce do czasu aż nowomianowany prezes teatrów r. st. Hoerschelman rozpatrzy się w stosunkach miejscowych i będzie na ten cel wyznaczony odpowiedni fundusz. Do kierownictwa teatrów Rozmaitości i Nowości mianowany będzie główny reżyser, który wspólnie z dyrekcyą czuwać ma nad repertuarem i wykonaniem sztuk. Obie jednak sceny posiadać będą własnych reżyserów z pomocnikami. Oprócz tego prezydujący w komisyi zawiadomił, iż sprawa budowy nowego gmachu teatralnego posuwa się naprzód. Złożono kilka projektów, wybór zaś jednego z nich nastąpi wkrótce.

Oto wynik narad, które mają teatry wyprowadzić z kłopotliwego położenia. Czy zarządzone środki będą wystarczające do pokrycia długów i wprowadzenia równowagi w budżecie, przyszłość pokaże. Oszczędności w sumie około rb. 40,000 nie są wprawdzie wielkie, ale podobno nie na tem koniec.

Są jeszcze pozycye, które bez szkody dla całości i interesów instytucyi mogą być zmniejszone lub skasowane zupełnie. Pole ku temu przedstawia wydział gospodarczy. Sam zwierzchni nadzór w tym wydziale kosztuje rb. 3,260 rocznie, jakkolwiek inspektorowie garderób, dozorcy i dozorczynie magazynów, ludzie mający ogromną pracę, są bardzo skromnie uposażeni.

Główną przyczyną niedoboru była, jak wiadomo, opera włoska; tu więc należało skierować reformę, aby takie straty nie powtarzały się.

Za niedołężne i zbyt kosztowne prowadzenie opery, synekurę baletmistrza, otrzymują dymisyę osoby, które jeszcze z niemałą korzyścią dla sceny pracować mogły. Zdaje się, że osobom, zaproszonym do narad, brakło odwagi do wskazania komisyi właściwych twórców owych długów. Bardzo słusznie uczyniła komisya, zmniejszając za „małe basy" wysokie pensye i uwalniając śpiewaków bez głosu, lecz posiadających tylko okazałe figury. Scena, to nie „panopticum" z figurami woskowemi; ale z drugiej strony i za średni baryton z ograniczonym dziś repertuarem 5,900 rb. rocznie i jeszcze *feu* 25 rb., to zbyt wysoka cena.

Pomijając teatr „Nowości," który tu w rachubę branym być nie może, jako nieprzynoszący strat, zaznaczyć należy, że i teatr Rozmaitości, pomimo wadliwego kierunku, nie powiększał długów teatrów warszawskich. Widownia Rozmaitości przy pełnym spektaklu przynosi zaledwie 880 rb., tyleż prawie teatr Letni i wobec takiego ograniczenia miejsc budżet wydatków nie przekracza prawie dochodów. Na wystawianie dramatów i komedyj kasa nie wydaje tysięcy rubli. Wiadomo nam dokładnie, iż na trzy ostatnie nowości: „Ludwik XI," „Krwawe gody," „Marya Stuart," wydatkowano na wystawę od 500 do 1,000 rb. na każdą sztukę. Wydatki takie zawsze się pokrywają, chociażby sztuka po pięciu przedstawieniach zeszła z afisza. Koszt wystawienia w ostatnim roku dramatów i komedyj, wliczając pensye i *feu* artystów, przy porównaniu z dochodami danych przedstawień nie wykazują strat, natomiast niedobór czują autorowie dramatyczni, którym bardzo skąpo płaci się za sztuki, i to nieraz po upływie bardzo a bardzo długiego czasu. Wszakże dotychczas nie otrzymał jeszcze honoraryum zmarły Bałucki za ostatnią sztukę, wystawioną w Rozmaitościach!

W imię słuszności nie możemy pominąć jeszcze jednej sprawy, dotyczącej teatru. Jeżeli dbamy o artystyczną wartość sceny, dobre uposażenie artystów, to należy zwrócić uwagę i na administracyę instytucyi, która jest bardzo liczną i bardzo licho uposażoną. Z wyjątkiem kilku posad lepiej płatnych, reszta to biedacy, żonaci, obarczeni rodzinami, pobierający 30—60 rb. pensyi. Od lat wielu etatów nie podwyższono, a wobec stałych niedoborów w kasie, nie znają oni, co to jest gratyfikacya lub zapomoga. Wszyscy są odłużeni u lichwiarzy i we własnej kasie pożyczkowej. Polepszenie ich warunków bytu powinno się znaleźć na porządku dziennym sprawy teatralnej.

*x.*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Estetyzm i tendencyjność.

Dzięki temu, że krytyka spoczywa u nas w rękach reporterów, dziennikarzy „od wszystkiego," przygodnych ochotników i poetów, którzy są mo-

że najmniej powołani do tego rodzaju sądów i umieją nieraz pleść duby smalone, mamy daleko więcej geniuszów i arcydzieł, niż jakikolwiek inny naród w świecie. Gdzie spojrzyć — stoi kolos, którego cała cywilizowana ludzkość dlatego tylko nie widzi, że ma wzrok krótki, a co najmniej każdy miesiąc zapisuje do dziejów literatury jakiś utwór, który ma wzbudzać podziw wiekuiście. Naturalnie fala czasu ciągle zalewa i tych geniuszów i te arcydzieła, a heroldowie ich sławy bez protestu godzą się z nieubłaganym losem i nawet nie próbują skarżyć się na jego okrucieństwo. Utonęła im zabawka — będą mieli drugą.

Po za tą chwilami farsą a chwilami orgią należy przyznać, że istotnie w dziedzinie twórczości artystycznej posiadamy kilka sił wielkiej miary, które bezpiecznie stanąć mogą obok najznakomitszych dziś w Europie i których sława sięgnęła już lub sięgnie daleko po za progi ojczyste. Nie tyle między temi siłami, ile około nich wre stary, zacięty i bezpłodny bój o zależność i niezależność sztuki od celów społecznych. Jak wiadomo z odwiecznej bajki, jedni chcą, ażeby ona była panią niepodległą, a nawet nietroszczącą się wcale o (nieestetyczne) potrzeby i wymagania życia, drudzy zaś żądają, ażeby stała się ich rzeczniczką i opiekunką. Gdyby na dnie tego sporu leżała jedna racya, byłby on dawno na jej korzyść rozstrzygnięty, ale ponieważ on obraca się na dwóch, więc toczy się ciągle. Jest to kłótnia słowika z kogutem, w której pierwszy dowodzi, że trzeba śpiewać bez żadnej uprzedniej myśli, dla samego śpiewu, a ostatni— że należy piać tylko na zmianę pory dnia lub stanu pogody. A niechże każdy postępuje według swojej natury! — odrzekłaby im sowa, gdyby się do niej odwołano. Między ludźmi takich sów jest mało, ale za to słowików i kogutów dużo. Podczas gdy krytycy i filozofowie wodzą się za czuby o „zasadę,“ artyści piszą, malują i rzeźbią, jak im wola talentu każe. I to jest najmądrzejsze rozsądzenie zatargu: niech silni tworzą, a bezsilni spierają się o to, jak tworzyć należy.

Ale jakkolwiek ci silni byliby potężnymi, są oni zawsze produktem swego czasu, miejsca i otoczenia, a jednocześnie muszą służyć jego zadaniom. Jakiś olimpijski karlik, którego byt lub niebyt, płodność lub bezpłodność, są jednako nieważkie na szalach dóbr kultury, może sobie paplać o swej niezależności od bliższych i dalszych warunków życia, może, stojąc na kopczyku teoryjki, udawać Mojżesza na Synaju. Jakiś zwyrodniały chorobliwiec, zapatrzony i zasłuchany w najdrobniejsze ruchy swych nerwów, może w obrębie swej istoty zamykać świat cały. Ale duchstworzyciel ani sam nie wyłamuje się ze swej obsady społecznej, ani ona mu na to nie pozwoli. Kto baje o „absolutach,“ o „nieśmiertelnych ideałach,“ o „bezwzględnych probierzach“ — ten tylko dowodzi, że jego usta są wylotem wiwatowej armatki, nabijanej pustą frazeologią. Największy człowiek nie jest nawet najmniejszym bogiem: on niczego nie stwarza dla wieczności, a najznakomitsze jego dzieła są tylko mniej lub więcej trwałymi, mniej lub więcej cennymi darami dla ograniczonego czasu i ograniczonej przestrzeni. Najdonioślejszym głosem przemawia on tylko do punktu i chwili w nieskończoności, a o „absolucie“ nie ma nawet żadnego wyobrażenia.

Chociaż w naszej literaturze spór o cele sztuki bywa nieraz bardzo hałaśliwym i chociaż mamy garść „estetów,“ odsyłających całą czeladź społeczną do kuchni Apollina, mimo to większość naszych artystów słowa z ostatniego okresu należy do pisarzów tendencyjnych. Nie zawsze ta tendencya odzywa się głośno po odwróceniu każdej kartki utworu, jak dzwonek po otworzeniu drzwi, ale prawie zawsze w nim drga. A jest to objaw bardzo naturalny. W pewnych stanach kultury lub warunkach rozwoju społecznego artyści domieszywają do materyału swych utworów pierwiastki użytkowe, stają się ekonomistami, doradcami prawnymi itd., jak filozofowie, wzięci do wojska, w potrzebie rąbią drzewo lub obierają kartofle. Nasza literatura dostarcza tak wymownych pod tym względem dowodów, że trudno w niej dostrzedz, a nawet wyobrazić sobie umysł silny, chociażby najenergiczniejszy, dążący i pociągany ku czystemu estetyzmowi, któryby wytrwał na tej drodze i nie zboczył z niej ku tendencyjności. Nasze też Muzy bywają zwykle adwokatkami lub siostrami miłosierdzia.

I czy to jest jakąkolwiek dla nich ujmą? Dziwne doprawdy brednie gotuje w swych garnkach wynajmowana do wszystkiego logika. Dostojnością artysty ma być wierne odmalowywanie kawałka łączki z kilkoma olszami lub rozsnuwanie potarganego wątka stosunków miłosnych, a niegodnem jego ma być wnoszenie światła w ciemności, ratowanie nędzy i wogóle zwracanie potoku życia w łożysko bezpieczne i wiodące do szczęścia. Dlaczego jest „wyższem“ nadymanie się nieskończonością, monologowanie wobec „absolutów,“ cała komedya pychy i niemocy od bezpośredniego wkraczania w życie rzeczywiste, od zajmowania się jego ważnemi zadaniami i sprawami? Dlaczego piękny sonet do wieczności, piękne malowidło z oryginalnem oświetleniem, piękna powieść o bandycie i rozpustnicy, dlaczego te dzieła są doskonalsze od pieśni Tyrteusza lub obrazu głodomorów indyjskich?

Powtarzam: nie łudźmy się przywidzeniami pychy: ani z odległości tysiąców mil, ani z odległości tysiąców lat nikt nas, nawet olbrzymów, widzieć i cenić nie będzie. Możemy być wielcy tylko w malenkim krążku działań śród bezmiaru istnienia. Ale to powinno wystarczyć do zadowolenia i naszej dumy i naszego serca. Bo w tych dla wszechświata drobnych kołach naszego wpływu zmieścić się mogą ogromne pożytki.

*Poseł Prawdy.*

## BADANIA NAUKOWE.

### HANDEL W PRZESZŁOŚCI
#### I W STANIE DZISIEJSZYM ŚWIATA.

Pod tym tytułem ukazała się w handlu księgarskim książka, zawierająca odbitkę artykułów Tadeusza Korzona i St. A. Kempnera z „Wielkiej encyklopedyi powszechnej ilustrowanej,“ wydawanej w Warszawie. Jako artykuły „Encyklopedyi,“ prace te były zupełnie wystarczające, lecz zaznaczyć trzeba, że nie są one przecież wzbogaceniem dorobku naukowego naszej literatury ekonomicznej, i dla tego trudno dopatrzyć się potrzeby wydania w osobnej książce. Część pierwsza, zawierająca „dzieje handlu,“ opracowana przez Tadeusza Korzona, ma tę zaletę, że znakomity historyk umieścił tu sporo wiadomości o dziejach handlu w Polsce i z tego względu rzecz ta zasługuje na uwagę. Natomiast w innych kwestyach niezawsze rozprawa odpowiada wymaganiom naukowym. Tak np. historya handlu jest związana bezpośrednio z historyą kolonizacyi, a historya ta była i jest do dziś dnia historyą niesłychanych zbrodni, jakich każdy naród, kolonizujący, dopuszczał się względem tuziemców. Nietylko historya kolonizacyi Hiszpanów i Portugalczyków jest pisana krwią: nie mniejszych zbrodni dopuszczali się tu Holendrzy i Anglicy. Jeżeli się mówi o „zwycięstwach walecznego Roberta Clive,“ zdobywcy Indyj, to nie wolno przemilczeć, że jest to jedna z najwstrętniejszych hyen ludzkich, o jakich wie historya, a kiedy się już potrąca o działalność Josiah Childa, nie wolno nie wspomnieć o tem, że „nadzwyczajny talent“ tego dyrektora kompanii wschodnio-indyjskiej, objawiał się głównie w uorganizowaniu barbarzyńskich zdzierstw, któremi podkopano na wieki dobrobyt Indyj, oraz w szerzeniu w Anglii zgnilizny, niemal bezprzykładnej w dziejach. Wszakże ten macher wielkokapitalistyczny płacił łapówki nawet królom angielskim — Karolowi II i Jakóbowi II. Trudno też zgodzić się na charakterystykę przesilenia handlowego z r. 1637 w Holandyi, które nie było w żadnym razie „spowodowane przez manię tulipanową,“ jak chce autor. Gra giełdowa przypadkowo obrała sobie za liczmany cebulki tulipanowe, ale mogła tak samo obrać guziki lub kanarki; przesilenie było spowodowane nadużyciem kredytu, nadmiernym wzrostem obrotów giełdowych, przepełnieniem rynku towarami kolonialnymi. Był to kryzys handlowy w całem słowa tego znaczeniu: zabawka w amatorstwo tulipanów była tylko jednem z dziwactw zacnych „mynherów,“ epizodem ciekawym, lecz nie przyczyną zjawiska. Tak samo historya szwindlu finansowego Johna Law, obfitująca w takie mnóstwo anegdotycznych epizodów, nie wyczerpuje się przecież tem całkowicie; chodziło tu raczej o ukryte bankructwo państwa, o skutki gospodarki finansowej księcia Orleańskiego, regenta Francyi, który uczynił był genialnego spekulanta swoim bankierem, a potem „kontrolerem generalnym,“ czyli ministrem finansów, nadał mu władzę rozporządzania nietylko obiegiem pieniężnym kraju, lecz nawet majątkiem osobistym obywateli. Wszystko w celu wyciśnięcia milionów potrzebnych na zbytek dworu. Są to usterki w traktacie, które nie licują z powagą autora, lecz chodzi o coś więcej jeszcze: Dzieje handlu, to cząstka tylko historyi rozwoju i przewrotów ekonomicznych i dlatego nie można jej traktować w oderwaniu, nie można poprzestawać na objawach zewnętrznych, inaczej popada się w błędy starej historyografii, lecz trzeba koniecznie powiązać organicznie fakty zachodzące w dziedzinie zjawisk gospodarczych. Przy takiem zaś przedstawieniu rzeczy nieuniknionem będzie wykazać np., jak rozwój handlu w wieku „wielkich odkryć“ był zarazem wynikiem rozkładu dawnego „gospodarstwa naturalnego,“ jednym z objawów przewrotu społecznego, najpotężniejszym czynnikiem nowej formy ekonomicznej, gospodarki wielkokapitalistycznej. Kapitał bowiem — jak wiemy z badań historycznych Karola Marxa, które stały się punktem wyjścia dla całej nowożytnej ekonomiki historycznej — pojawia się na widowni dziejów jako kapitał handlowy; kupiec-kapitalista staje się burzycielem urządzeń cechowych, wprowadza nowe formy wytwarzania, daje początek erze, która doprowadza w wieku XIX do typu gospodarstwa kapitalistycznego, do podziału społeczeństwa ludzkiego na dwie wielkie klasy — kapitalistów i proletaryat. Przy takiem pojmowaniu dziejów historya gospodarstwa przestaje być historyą czynów „wielkich ludzi.“ Gdy patrzymy z tego ogólnego punktu widzenia, polityka ekonomiczna Colberta i Cromwella traci charakter pomysłów genialnych, bohaterowie ci bledną znacznie, lecz ewolucya społeczna staje się zrozumiałą. Tego zaś ewolucyjnego pojmowania dziejów, dziś chyba jedynie już racyonalnego, daremnie szukamy w rozprawie Korzona. Zawiera ona tylko opowieść historyczną o najważniejszych faktach. Zaznaczyliśmy

już zresztą, że fakty nie zawsze są pojęte trafnie, a skończyć musimy wskazaniem jeszcze jednego błędu tego rodzaju. Na str. 88 czytamy: „Po jego (Napoleona III) upadku wszakże objawiła się reakcya w traktatach handlowych ku protekcyi. Wkroczył natomiast nowy zwrot z Lassalem, Marxem i socyalistami „z katedry"; Bismarck zaczął uwzględniać go i przekształcać na socyalizm państwowy, co jednak oddziaływa chyba pośrednio na handel przez ceny wyrobów, głównie bowiem zmierza do podniesienia klasy robotników fabrycznych, czyli t. zw. „stanu czwartego." W zdaniu tem mieści się cały szereg nieporozumień: 1) Pomiędzy rewolucyonistami Marxem i Lassalem a t. zw. „socyalistami z katedry," przeważnie ludźmi nawskróś konserwatywnymi (Wagner, Schmoller itd.), niema prawie żadnych punktów stycznych; 2) Marx i Lassalle byli wolnohandlowcami i ich teorye nie mają nic, ale to absolutnie nic wspólnego ze zwrotem ku protekcyonizmowi; 3) Bismarck nigdy ani myślał uwzględniać „nowego zwrotu," jaki zapoczątkowali w ekonomicznych poglądach Marx i Lassalle, a nawet nie miał nic wspólnego z socyalistami z katedry; 4) „podniesienie klasy robotników fabrycznych" nie oddziaływa na handel przez ceny wyrobów, gdyż, jak wiadomo, w społeczeństwie nowożytnem robotnik najwyżej płatny i najwyżej też stojący kulturalnie, wytwarza najtaniej; 5) do zwrotu ku protekcyonizmowi uczynił pierwsze kroki Bismarck jednocześnie z najdzikszem prześladowaniem klasy robotniczej (prawo wyjątkowe przeciw socyalistom datuje się od r. 1878, a w 1879 uchwalono taryfę celną protekcyjną w Niemczech.

Drugą część książki stanowi „teorya handlu," opracowana przez St. A. Kempnera. Znajdujemy tu rozdziały następujące: Określenie i istota handlu, kształtowanie się handlu; statystyka; sprawy społeczne a handel; polityka handlowa; wolność handlowa; traktaty handlowe; bilans handlowy; urządzenia handlowe; technika handlu i spis literatury. Pan Kempner jest specyalistą w dziedzinie, którą tu opracował i rozprawa jego zawiera w formie zwięzłej szereg informacyj, pożytecznych dla początkujących adeptów ekonomiki, niewystarczających jednakże dla tych, co chcą się zapoznać dokładniej z kwestyą. Rozprawka ta nie wypełnia luki, jaka istnieje niewątpliwie w naszej literaturze ekonomicznej wskutek braku dzieła specyalnego o teoryi handlu.

*J. B. M.*

## P. E. Berthelot

w pięćdziesięciolecie swej działalności naukowej.

Piotr Eugeniusz Marceli Berthelot, obchodzący obecnie 50-letni jubileusz swojej służby naukowej, urodził się 1827 r. w Paryżu, w 1851 zajął stanowisko asystenta przy kursach chemicznych Balarda w College de France, w 1859 zaś został profesorem chemii organicznej w „Ecole supérieure de Pharmacie." Nazwisko jego jest związane tak ściśle z postępami chemii, że trudno mówić o jej zdobyczach, żeby nie wspomnieć o nim. Wielki uczony zajmował się głównie syntezą związków organicznych, chociaż nie zaniedbywał innych dziedzin chemii nawet nieorganicznej; jeszcze w r. 1863 został członkiem Akademii nauk. Podczas oblężenia Paryża oddał wielkie usługi, użytkując ze swej wiedzy na wytwarzanie nitrogliceryny, prochu, odlewanie dział i przygotowanie innych środków obrony. W dowód uznania za te zasługi wybrano go w r. 1871 do Izby, w 1881 został członkiem senatu, przez krótki czas piastował nawet w gabinecie teki ministeryalne.

Z pomiędzy wielkiej liczby prac, rozrzuconych w pismach i wydrukowanych osobno, na uwagę zasługują następujące dzieła sławnego chemika: „Chimie organique fondée sur la synthèse" (2 t., 1860); dzieło to wprowadziło ówczesną naukę na nowe tory. „Leçons sur les principes sucrés et sur l'isomérie"; „Leçons sur les méthodes générales de synthese" (1864); „Leçons sur la thermochimie," zbiór wykładów mianych w College de France; „La synthèse chimique" (od 1875 r. 6 wydań); „Podręcznik chemii organicznej" (2 tomy); „Essai de Mécanique chimique, fondée sur la thermochimie" (2 t., 1879 r.); w dziele tem znajdujemy poglądy, stanowiące punkt wyjścia dla idei, które obecnie dosięgnęły wysokiego stopnia rozwoju w nauce. „Sur la force des matieres explosives d'après thermochimie" (2 t., 1883); „Les origines de l'Alchimie" (1885). „Les Carbures d'hydrogéne" (3 tomy, 1851—1901).

Ten suchy spis tytułów nie wystarcza atoli dla ocenienia olbrzymich zasług, położonych przez Berthelota; przypatrzmy się więc choć z daleka jego płodnej działalności. Dla zoryentowania się zaznaczmy, iż wszystkie prace jego skupiły się dokoła dwóch idei głównych: syntezy związków organicznych i praw mechaniki chemicznej, rządzących powstawaniem tych związków. W epoce, kiedy ten znakomity uczony zjawił się na widnokręgu, panowało przekonanie, że chemik może jedynie burzyć, analizować to, co stwarza przyroda, dzięki tajemniczej sile życiowej (vis vitalis).

Otóż Berthelot obalił, a raczej zadał szereg stanowczych ciosów tej fałszywej doktrynie, dokonawszy syntezy licznych związków organicznych, przyczem uciekał się jedynie do znanych sił przyrody: ciepła, elektryczności, powinowactwa chemicznego. Kilka tych syntez śmiało nazwać można świetnemi, np. wytworzenie wprost z węgla i wodoru, za pośrednictwem łuku Volty, acetylenu, węglowodoru bardzo prostej budowy ($C_2H_2$). Z acetylenu Berthelot otrzymał następnie i wiele innych węglowodorów, czyli dowiódł, że związki te dają się wytwarzać sztucznie, jakkolwiek są pochodzenia organicznego.

Węglowodory posłużyły mu z kolei za punkt wyjścia do otrzymania związków pochodnych. Utleniając acetylen, Berthelot dokonał syntezy kwasu octowego itd., łącząc zaś acetylen z azotem, otrzymał kwas pruski — punkt wyjścia ku całej seryi związków cyanowych.

Łącząc najprostsze związki (tlenek węgla i wodę) B. wytworzył w sposób podobny, jak to niezawodnie czyni przyroda, rozmaite węglowodory, a nawet kwas mrówkowy.

Mając do rozporządzenia węglowodory, stosunkowo już łatwo przeszedł do alkoholów. W 1854 roku pokazał, jak się robi alkohol zwyczajny, etylowy z etylenu, w 1855 zrobił sztuczny alkohol drzewny (metylowy), a niedawno dowiódł, że spirytus można też otrzymywać z karbidu, który obecnie służy do fabrykacyi acetylenu do celów oświetlenia.

Łącząc węglowodory i alkohole z tlenem, wodorem, z amoniakiem, kwasami itd. Berthelot wytworzył mnóstwo innych związków organicznych; najbardziej uderzającą jest niezawodnie synteza ciał tłuszczowych.

Od kilkunastu lat pracuje on nad wykryciem metod, jakich używa przyroda do otrzymania wodanów węgla i innych ciał organicznych w komórkach roślinnych; nauka znajdowała się już na dobrej drodze i, według przypuszczeń samego Berthelota, prędzej czy później będziemy mogli sztucznie fabrykować z wody i dwutlenku węgla mączkę czyli krochmal i inne ciała, odgrywające główną rolę w odżywianiu świata zwierzęcego i ludzkości. Nastanie wtedy przewrót w rolnictwie choć dziś do niego bardzo jeszcze daleko. Berthelot poświęcił także wiele czasu badaniom nad przyswajaniem azotu wolnego przez substancye organiczne pod wpływem elektryczności o niskiem napięciu i nad przechodzeniem azotu atmosferycznego do roślin motylkowych za sprawą mikrobów, współżyjących z niemi. Odkrycia te dowodzą, że urodzajność gruntów daje się podtrzymywać do nieskończoności.

Powiedzieliśmy już, że B. pracował nad mechaniką chemiczną i w tym zakresie zasłynął jako niezmiernie bystry i filozoficzny umysł, oraz genialny eksperymentator.

Wiadomo, że wszelkie zjawiska chemiczne, w gruncie rzeczy, sprowadzić się pozwalają do ruchów i wzajemnych oddziaływań na siebie cząsteczek (molekul) i atomów, składających ciała materyalne, przyczem wchodzą w grę rozmaite siły. Otóż te siły dają się mierzyć ilością ciepła pochłoniętego lub wytworzonego podczas danego szeregu reakcyi chemicznych, ponieważ zaś ciepło daje się mierzyć z pracą mechaniczną, przeto siły chemiczne weszły do szeregu znanych form energii wszechświatowej. Powstała tedy nowa gałąź wiedzy, zajmująca się badaniem przyczyn chemicznych przeobrażeń i praw, rządzących temi przemianami.

Barthelot należy do założycieli tej nauki, w ciągu 20-tu lat wynajdywał on nowe metody badań, udoskonalał stare i wyprowadzał prawa, z pomiędzy których trzy następujące są zasadniczemi: 1) Ilość ciepła, wydzielającego się przy jakiejśkolwiek danej reakcyi, jest miernikiem sumy prac, wykonanych w tej reakcyi przez rozmaite siły chemiczne i fizyczne. 2) Ilość ciepła, wytwarzającego się w danym szeregu reakcyi chemicznych jest niezmiennie stałą, bez względu na naturę i porządek, w jakim po sobie następowały stany przejściowe. 3) Zasada pracy maximalnej, według której wszelka zmiana natury chemicznej, odbywająca się bez udziału energii zewnętrznej, dąży do wytworzenia takiego związku lub systemu związków, przy których powstawaniu uwalnia się największa ilość ciepła.

Dzięki tym pracom, zdołaliśmy stwierdzić, że siły chemiczne są posłuszne prawom mechaniki racyonalnej, rządzącym wszystkiemi zjawiskami w przyrodzie.

Poglądy takie dążyły do wyzwolenia chemii z powijaków nauki czysto spizowej i zlania jej z fizyką. Tak powstała chemia fizykalna, która tak się rozwinęła dzisiaj, że nie można już być dobrym chemikiem, nie będąc zarazem fizykiem.

Berthelot, obdarzony umysłem szerokim, nie poprzestawał na dokonywaniu odkryć naukowych, ale nadto wyciągał z nich daleko sięgające wnioski; wyrzucił on, jako przeżytek filozoficzny tz. siłę życiową dowiódłszy, że siły wytwarzające związki organiczne w niczem się nie różnią od dobrze znanych sił przyrody. Jest on pozytywistą w filozofii ale samodzielnym, całkiem niezależnym od formułek A. Comte'a.

*wu.*

# LITERATURA I SZTUKA.

## LITERATURA POLSKA.

**Witolda Gozdawy-Godlewskiego *Utwory*. Warszawa. Kraków 1901 (Wydanie pośmiertne).**

Z pierwszej stronicy „Utworów" spogląda na nas młodzieńcza, zadumana twarz autora, a na okładce czytamy: „Wydanie pośmiertne." Niewiele

geniuszów zdołało utworzyć rzeczy doskonałe, a choćby wybitne tylko, przed ukończeniem drugiego dziesiątka lat, a tu — cała twórczość poety wraz z życiem w dwudziestym roku się kończy. Okres 1879—1890 zamyka żałobną, wąską klamrą cało to istnienie, tak wcześnie zgaszone. Okoliczność powyższa musi stanowić o skali naszego sądu; inaczej on bowiem wypadnie, gdy mamy przed sobą człowieka dojrzałego, inaczej zaś, jeśli wiemy, iż są to pierwsze, młodzieńcze próby, iż jest to zapowiedź, której losy ziścić się nie dały. A próby te mówią nam o prawdziwym talencie; o duszy, któraby rozwinąć mogła z głębi swej, zasoby niepospolitej miary; z tem większym żalem i sympatyą patrzymy po skończeniu książki na zamyślone oczy młodego poety. Już tak nigdy nie spojrzą. A patrzyły one na życie i jego zjawiska z wielką i gorącą ciekawością badacza i artysty. Młodociany umysł chłonął wrażenia z nadmierną wrażliwością. Nerwowa, przeczulona, delikatna ale zarazem energiczna i namiętna organizacya, o niesłychanie zmiennym nastroju, wygląda z tych kart; znaleźć na nich możemy obok siebie i tryumfalny hymn szczęścia, i najrozpaczliwsze jęki cmentarnych dzwonów na pogrzebie wszystkich, zda się, nadziei: uniesienia zachwytu, rzeźwiące hasła otuchy, i demoniczne szyderstwa, i zgrzyty. Demonizmu wogóle dużo.

Same tytuły powiedzą nam o tem: „Bluźnierstwa," „Modlitwa Szatana," „Kain," „Neron," „Herostrates." Wszystko to są duchy zbuntowane i dumne, a bunt swój i dumę wypowiadające niekiedy w silnych i pięknych strofach. Zadużo może pamięci o filistrach; przypomni się może nam zbyt wyraźnie i Byron, i Lermontow, i Alfred de Vigny („Modlitwa Szatana"), ale pamiętajmy, iż autor miał 18 lat; że w tym wieku poeci owi *musieli* nań wywierać swój wpływ, który też się odbił na jego twórczości, podobnie jak się na niej odcisnął z całą swą zmanierowaną oryginalnością Przybyszewski.

Kochająca ręka, z pietyzmem zbierająca pamiątki po zmarłym poecie, zgromadziła całą jego puściznę literacką. Znajdujemy więc tu, oprócz wiązanki liryk, i ułamki dramatu, i sprawozdania z galeryi obrazów, pisane z widocznem zamiłowaniem sztuki, i zajmujące, barwne listy z podróży, i szkic filozoficzny, objawiający jeśli nie głębokość i oryginalność myśli, to przynajmniej znaczne oczytanie i usilne dążenie do syntezy. W powieściach („Venus vicit," „Hypnoza"), przesiąkniętych nawskroś cokolwiek naiwnie zrozumianą Przybyszewczyzną, widoczny jest namiętny temperament pisarski, jest malarska wrażliwość na światło i barwy, jest wielka plastyczność i giętkość stylu. Właściwości te składają się na osobliwość poetycką, której pewnie niepoślednie było przeznaczone miejsce na Parnasie naszym. Młody poeta tak ukochał życie, tak często wołał z zapałem *Evoe vita*! „Szumi ono rozlewne i szalone, a takie pyszne, a takie rozmaite. Fale jego piętrzą się i wzbierają, huczą, spadają iskrami szałów, kaskadą upojeń, płaczą jękiem bezbrzeżnych rozpaczy. W pianach jego, w szalonych odmętach i w głębiach zawrotnych—takie bogactwa, takie nadzwyczajne skarby Sezama!" Forma w utworach wierszowanych nie zupełnie jeszcze wyrobiona, lecz wiersz jest gładki, dźwięczny i swobodny. Trudne końcówki niezawodnie nęciły młodego poetę, ale bierze je nieraz mimowolnie, zapewne wprost u Langego: granit oceanit, obelisk popielisk, aksamit piramid, itp. Przykre jednak wrażenie sprawiają dość często usterki stylowe i zwłaszcza językowe, „roztracić," pszczoła użała," — zbyt częste używanie zaimków osobowych: „*Ja* tobie dam," *ja* wzywam ciebie,"—lub wreszcie takie dziwactwa językowe: „dziecinny módł" (mdły), „roztrzaskany kajdan," „wyrwać moje mózgi" itp.

Nie wszystkie tony, dobywane przez autora z lutni były sympatyczne, ale przecież on właściwie drogi swej dopiero szukał. Bywały chwile, w których wołał z rozpaczą: „Wskażcie drogę, bo ginę w chaosie." — Upadł.. Więc żegnamy go pełnem żalu westchnieniem. *ad.*

## DZIENNIK SŁUŻĄCEJ.

Octave Mirbeau: *Le journal d'une femme de chambre.*

Straszna książka... Znam osoby, zresztą niecofające się bynajmniej przed surowo krytycznym poglądem na życie współczesne, które literalnie nie mogły doczytać jej do połowy. Nasze nerwy są za słabe na podobne „obnażanie" dusz. Na to, aby takie książki mogły się pojawiać, trzeba społeczeństwa wysoko kulturalnego i skomplikowanego, do tego stopnia, że klasy wyższe, nie opierając już swego bytu i stanowiska na żadnym dogmacie społecznym, same z siebie szydzą, a zmiany nie pragną i wyjścia dostrzedz nie są zdolne. Mirbeau wyszedł z tych warstw i właściwie nigdy nie zasymilował się duchowo z żywiołami, będącymi ich przeciwieństwem: stąd jego straszliwa negacya. Pesymizm, „naturalizm," „grzebanie się w brudach" — stały się synonimami twórczości Emila Zoli: ale Zola, jakeśmy to już mieli sposobność wykazać, posiada ideał, wierzy w odrodzenie społeczne, i z punktu widzenia dobra, w pewien określony sposób pojętego, sądzi i chłoszcze dzisiejsze zło. Mirbeau nie ma ideału; w prądzie masowym, zmierzającym dziś ku odrodzeniu społecznemu, widzi on tylko robotę „złych pasterzy," przywódców — jak mówią w Galicyi — „niepowołanych," których napiętnował w dramacie pod tym tytułem, ku radości konserwatystów. Ale dla teraźniejszości jest on stokroć od tych burzycieli-reformatorów bardziej niemiłosierny. Przy doprawdy nieporównanym zmyśle odkrywania, wywęszania ohydy tam, gdzie najstaranniej nawet jest ukryta, posiada on temperament Savonaroli, wyrzucający mu z pod pióra wytryski parzącego witryolejn. Wzgarda dla wszystkiego, co ludzkie, nieodstępna, prześladująca go wprost intuicya brudnej zwierzęcości w człowieku i społeczeństwie, w duszy i instytucyach, doprowadza go czasem do takich okrutnych zabawek, do takiego szyderskiego torturowania wyobraźni, jak w „Le Jardin des Supplices." Nie radzę czytać tego nikomu, kto nie ma żelaznych nerwów...

Tamto — była wiwisekcya duszy indywidualnej, w szczególności kobiecej. Wiwisekcyą społeczeństwa, a przynajmniej tej części jego, którą jedynie Mirbeau naprawdę znać może, jest „Le Journal d'une Femme de Chambre." Przed półtora stuleciem Le Sage zdejmował dachy z domów wielkiego miasta, aby ich mieszkańców pokazać swemu bohaterowi w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewali, takich, jakimi są naprawdę. Ale jego „Dyabeł kulawy," mimo całej swej dyabelskiej wiedzy, był, bądź co bądź, obcym w tych domach, nie mógł przeniknąć nawskroś w ich życie. Gdzie dyabeł nie mógł, tam Mirbeau posłał — pokojówkę. Pokojówkę wielkomiejską. Ta piękna, ponętna, zmyślna dziewczyna nie patrzy z zewnątrz, choćby przez szklanne ściany: ona wchodzi do domów, do rodzin, bierze udział w ich życiu, staje się sama uczestniczką, przedmiotem ohyd, które rozumie doskonale i które szelmowską ręką domowego wroga w dzienniku swoim notuje.

„Namiętnie lubię — mówi Celestyna — usługiwać przy stole. Wtedy poznaje się swoich państwa w całym ich brudzie, w całej ich wewnętrznej nędzocie. Z początku ostrożni, powoli, przestają mieć się na baczności, zaczynają pokazywać się takimi, jakimi są, bez szminki i osłon, zapominając, że ktoś krąży naokoło nich, kto podpatruje i notuje ich plamy, ich moralne garby, tajemne rany ich istnienia, całą sumę ohyd i bezecnych mar, jaka się mieści w szanownych mózgach porządnych ludzi. Zbierać te wyznania, klasyfikować je i porządkować w pamięci w tej nadziei, że z nich kiedyś, przy porachunku, będzie się miało broń straszliwą — to jedna z rozkoszy naszego fachu, to drogocenny odwet za tyle upokorzeń..."

Widzimy odrazu, że i „naga" dusza pięknej Celestyny nie należy do najlepszych. Mirbeau, który jednego strzeże się, jak ognia: wszelkiej idealizacyi i raczej często wpada w drugą ostateczność, nie szczędzi też jaskrawych barw na przedstawienie świata służących, tego świata wielkopańskich lokajów i pokojówek, który demoralizacyą dorównywa „lumpenproletaryatowi" i przewyższa go. Świat ten zresztą jest dla Mirbeau'a poprostu odbiciem samego świata wielkich panów... „Służący — mówi autor ustami Celestyny — nie jest istotą normalną, społeczną. To jakiś hybryd, złożony z kawałków niedopasowanych do siebie. Ani to do ludu należy, ani do burżuazyi. Ludu się wyparł, stracił jego szlachetność i naiwną siłę. Od mieszczaństwa przejął zepsucie — bez ozdoby, a więc i bez usprawiedliwienia, jakie daje bogactwo..." Służba ta kradnie, oszukuje, cudzołoży, kłamie, wyzyskuje się nawzajem — zupełnie jak państwo. Z gryzącą ironią — a zresztą zgodnie z prawdą historyczną — przedstawia Mirbeau lokajów arystokracyi, przejętych hasłami militaryzmu i brukowego „nacyonalizmu" dzisiejszego, używanych przez „ligi" do robienia zapału lub oburzenia, wierzących święcie w to, że Zola za 600,000 wydał całą armię francuską Anglikom oraz Niemcom, bojkotujących jego adwokata Laboriego, upajających się krwiożerczemi tyradami antysemickiego organu Drumonta i imperyalistycznego Cassagnaca, wrzeszczących z powodu Dreyfusa: „Jeśli zdrajca jest winnym, niech go odwiozą napowrót na wyspę; jeśli niewinny — to go rozstrzelać!" Gdy ktoś z nich — jak Edgar, koniuszy barona Borgsheima, powaga w rzeczach sportu, któremu młodzi sportsmeni arystokratyczni, prosząc o radę, pokryjomu dłoń ściskają — dojdzie sam do bogactwa i stanowiska, to jak traktuje swych towarzyszów zawodu? Markiz Plérin błaga, aby mu powiedział, jakim sposobem nadaje tak cudowny połysk swoim cylindrom? Nie mogę się powstrzymać od przytoczenia recepty Elgara: mamy i my swojskich Plérinów, którzy mi pewno za to będą wdzięczni. Niech więc słuchają:

— Moje kapelusze, panie markizie? — odrzekł Elgar, któremu prośba pochlebiła, ponieważ Plérin, oszust w grze i na wyścigach, był wówczas jedną z najbardziej znanych osobistości świata paryskiego. — To bardzo proste, tylko, jak przy totalizatorze, trzeba się domyślić! Proszę więc słuchać: Co rano, każę przez kwadrans memu lokajowi biegać. Naturalnie, poci się... A pot wszak zawiera tłuszcz... Więc cieniutką, jedwabną chusteczką zbieram pot z jego ciała i każę mu tem glansować kapelusze... Potem — raz żelazkiem... Tylko trzeba człowieka czystego i zdrowego, lepiej szatyna, bo blondyni czasami mają pewien odór... a nie wszelki pot się nadaje... W roku zeszłym dałem tę receptę księciu Walii...

Sama autorka pamiętnika jest zepsuta do gruntu. Do gruntu — wyrażenie zbyt silne, bo na samym dnie duszy drzemią

w niej jeszcze naiwne popędy dziecka ludu, sentymentalny mistycyzm, nawet zdolność do poświęceń: „Niech tylko przemówi ktoś do mnie łagodnie, nie traktuje mnie jak coś pośredniego między psem a papugą — zaraz ogarnia mnie wzruszenie, odzywa się we mnie dusza dziecięca. Zapominam o urazach, nienawiści, buncie wewnętrznym; dla tych, którzy do mnie zwracają się po ludzku, mam już tylko uczucia miłości i poświęcenia...“ Epizod, w którym Celestyna zostaje lektorką młodego suchotnika, a on się w niej kocha, świadczy o tem, a zarazem stanowi wstrząsającą tragedyę... Lecz to wyjątki: w ciągu swej służby — a zmieniła dwanaście miejsc przez dwa lata — natrafiała tylko na „złych bogaczy,“ „których serce było bardziej zbrukane, niż barłog jej matki,“ biednej pijaczki-rozpustnicy. Znajdujemy z tej dziedziny w książce Mirbeau sceny klasycznej niemal siły, np. scena najmu w biurze pośrednictwa, albo historya ogrodnika, któremu pani, sama czule pieszcząca swe dzieci, stawia za warunek, aby nie miał dzieci, bo to utrudnia służbę, wskutek czego żona ogrodnika decyduje się na spędzenie płodu i — umiera... Znajdujemy takie ustępy, godne pomieszczenia w wypisach — dla pań:

„Jakże biedna służąca godna jest współczucia i jak jest samotna! Może mieszkać w domach licznie zaludnionych, wesołych, hałaśliwych — jest jednak zawsze sama!... Bo samotność—to nie znaczy żyć w odosobnieniu, to znaczy żyć u obcych, żyć u ludzi, których nic obchodzimy, dla których znaczymy mniej od psa, karmionego przecie starannie, odkwiatu, otoczonego opieką jak bogatedziecko, — u ludzi, od których dostają się nam tylko stare suknie lub zepsute resztki:

— Możesz zjeść tę gruszkę, już zgniła... Dokończ sobie to kurczę w kuchni, już cuchnie...

Każde słowo mieni się wzgardą, każdy gest spycha niżej od zwierzęcia... A nie można nic powiedzieć, trzeba uśmiechać się i dziękować, inaczej—niewdzięczna, bez serca... Na szczęście, nie zawsze się ma czarne myśli. Trzeba się ogłuszyć rozrywką, urządza się sobie zabawy z kolegami i koleżankami...“

Zabawy—kosztem państwa nieraz brudne, niskie; nieraz—kosztem dobrych państwa także: „*Tant pis!* Ktoby tam miał czas na to, aby być dobrym dla swych państwa! Niech dobrzy płacą za złych!...“

Galerya „państwa“ jest bo też urozmaicona, że aż miło patrzeć... Pan Rabour, który ma słabość do bucików swych służących... Pani, która od czasu do czasu wraca z miasta na obiad nie wiadomo skąd, w odzieży pomiętej, pobrukanej, a raz jakiemuś obdartusowi, co przyszedł z tajemniczym listem, wysyła sto franków do przedpokoju... Kapitan Mauger, syn Marsa o głowie kretyna, przytem jednak egoista po chłopsku chytry i złośliwy: dla swej służącej wydziedzicza rodzinę, lecz pokryjomu wydziedzicza i służącą — aby jej spłatać figla. Płata też figle sąsiadom, tłukąc im kamieniami inspekty w ogrodzie, a zaskarżony do sądu wypiera się i dowodzi, że jego przeciwnik chce tylko zbrukać honor armii i jest poprostu *un sale juif.* Państwo Lanlaire obywatele wiejscy. Pomimo bogactwa, skąpi i pozbawieni wszelkich skłonności artystycznych, uczuć delikatnych. Jego ojciec, fabrykant, urządził fałszywe bankructwo; jej ojciec za cesarstwa zajmował się stręczeniem ludzi biednych, godzących się za pieniądze iść do wojska na miejsce rekrutów bogatych. *Et ce n'est pas plus malin que ça d'etre riche!* Dalej arystokracik ożeniony z bogatą chamką, wymyślają sobie nawzajem od rozmaitych słów, potem — godzą się w istnych orgiach zmysłów... Państwo de Tarves: pyszne typy paryskie. Ptaki niebieskie, co dom utrzymują na wielkopańskiej stopie dzięki zręczności pani w doborze kochanków, a ruchliwości pana w zbieraniu składek na najrozmaitsze instytucye dobroczynne, reklamowane przez dzienniki katolicko-monarchiczne. Synek Ksawcio, skończony cynik, nie wierzy w nic, czasem pomaga mamusi radą, a mamusia za to, w dbałości o zdrowie synka dobiera mu ładne pokojówki... Mirbeau w szalonym rozmachu swej satyry nie cofa się czasem i przed karykaturą, która jednak nie przestaje być trafną. Taką karykaturą, która zdaniem mojem zajmie miejsce, jako dokument w historyi obyczajów, jest zimno zjadliwy opis obiadu proszonego u modnego romansopisarza, Wiktora Charrigaud. Utalentowany, lecz prosty, niskiego pochodzenia i nieokrzesanych obyczajów, dorobiwszy się majątku i sławy na dowcipnem wyszydzaniu *snobizmu*, modnego, manierowanego modernizowania, sam z kolei chce udować *snoba* i aby wejść w „świat,“ sprasza rozmaite hrabiny ze skandalikami, panów *a la* Oskar Wilde, estetów rozanielonych... Opowiadanie jednego z nich o mistycznej uczcie wydanej przez poetę Fryderyka-Ossyana Pingletona z okazyi połączenia się jego żony Botticelliny z jego przyjacielem malarzem Johnem-Giotto Farfadettim, jest pyszną karykaturą prerafaelizmu takiego, jak go pojmują pseudo-znawcy, upajający się modą dnia...

Pewne zacięcie karykaturalne, właściwe niewątpliwie Oktawiuszowi Mirbeau, sprawia, że nie jeden np. ostrzejszy rys życia wielkopańskiego we Francyi współczesnej może się czytelnikowi jego książki wydać przesadzonym. O obyczajach tych „górnych dziesięciu tysięcy“ możnaby jednak i warto napisać całe studyum na podstawie niepodlegających zaprzeczeniu dokumentów, ktoreby wypadło drastyczniej, niż najzłośliwsza satyra. Niech o tem świadczy na zakończenie, nie anegdota, ale fakt rzeczywisty, który wygląda zupełnie na nowy rozdział z powieści Mirbeau. Fakt ten opowiedział publicznie przed rokiem może fejletonista *Matin'a*, H. Harduin, a choć nie wymienił nazwisk, to przecież bohaterów poznał odrazu cały Paryż.

Dziedzic olbrzymiej fortuny i wielkiego imienia, duk — *arbiter elegantiarum* aż do późnej siwizny, który gdy uznał za stosowne nosić monokl na szerokiej taśmie morowej, to go natychmiast naśladowała cała szanująca się młodzież, a białe *guetre y* (wyłogi na kamaszkach) naśladował za nim sam prezydent rzeczypospolitej, został w końcu tknięty paraliżem. Żona, z którą żył jak pies z kotem, przy pomocy starszego syna, który znów nie cierpiał młodszego, zabrała paralityka do swego pałacu i „otoczyła czułą opieką,“ za którą jednak biedaczysko wywdzięczał się jej tem jedynie, że ilekroć pokazywała mu się na oczy, kołowaciejący język wymawiał pieszczotliwe słowo: *Vache!* (Krowa). To był zresztą jedyny objaw życia duchowego w tym niegdyś królu salonów i gabinetów. Objaw ten był dla księżnej trochę nieprzyjemny, tembardziej, że właśnie potrzebowała ona wraz z synem stanąć przed mężem w obecności świadków—rejenta—aby uzyskać od niego podpis na jakiemś pełnomocnictwie majątkowe. Co tu robić? Rada w radę — kupiono piękną krówkę i puszczono ją na pastwisko w parku przed oknem pałacowem, ku któremu zwrócono fotel paralityka! W ten sposób—myślano—wyraz, wychodzący z ust księcia, zostanie wzięty za objaw przyjemności chorego z widoku pożytecznego zwierzęcia. Wchodzi tedy jaśnie oświecona księżna w towarzystwie sług prawa do apartamentu męża zwraca do niego delikatną a czułą mowę i czeka z ufnością gestu przyzwolenia. Jaśnie oświecony patrzy na żonę ukochaną, patrzy w okno, znów zwraca wzrok ku żonie—i z widocznym wysiłkiem możliwie jak najwyraźniej, rzuca jej w twarz:

— *Chameau!*

*K. Radosławski.*

---

## ZDALA OD ZGIEŁKU.

W chwili, kiedy kultura opanowywa całą swą siłą życie wielkomiejskie, kiedy wszelkie nowości i prądy ogniskować się zaczynają w wielkich zbiorowiskach ludzi, kiedy entuzyazm ogarnia masy, czując przypływ uświadomienia — prawdziwie artystyczna dusza ulatuje chętnie myślą w zacisze, w miejsce, pozbawione gwaru wielkomiejskiego.

Obecnie daje się coraz wyraźniej zauważyć ten dziwny fakt ucieczki artysty przed miastem. Jak Mahomed w puszczę, chroni się on przed życiem miejskiem stosownie do swej indywidualności.

Z jednej strony rozkipienie, ruch, z drugiej — samotność. Powiada francuski myśliciel Vauvenargues: Wielkie dusze znajdują w sobie samych większą część zewnętrznych przedmiotów. Nie potrzebują ani czytać, ani podróżować, ani studyować, by odkrywać najwyższe prawdy: wystarczy, jeśli w głąb własnej duszy spojrzą...

W tych słowach myśliciela spoczywa wielka część wytłomaczenia tego dziwnego objawu stronienia artysty od wielkiego, miasta światowego. Ipse Deus daemon, filosofus et omnia... — orzeka artysta i ucieka od pstrokacizny wrażeń wielkomiejskich. Rażą go one swą codziennością, banalnością, szarzyzną, dusi go uścisk kamienia i cegły, przesłaniając ej dalekie widnokręgi... gnębi pospolitość, którą spotyka na każdym kroku, mrozi lot jego fantazyi rzemieślnicza, mrówcza praca, która wokół niego wre.

Powietrza szuka dla duszy!

I albo, jak Huysmans, przywdziewa habit mnicha i w ciszy klasztornej oddaje się wizyom, snującym się przed wzrokiem jego duchowym... albo jak Zarathustra-Nietzsche, pnie myśl swą ku niebosiężnym górom, ku roztopom, gdzie bliżej „zmierzchu bogów,“ a najdalej od współczesności... potem wraca odrodzony, przekształcony.

Objaw tej ucieczki nie jest bynajmniej wyodrębnionym; rozbija się ona jednak często o brak sił, o słabą wolę osobnika, który nie może przezwyciężyć przeszkód, niepozwalających mu na taki rozbrat ze stosunkami swego otoczenia. I powstaje wówczas straszny rozdźwięk w duszy artysty: wstręt, jakim go przejmuje otoczenie, walczy z cudownymi, wypieszczonymi w duszy obrazami pracy intensywnej — lecz zdala od zgiełku...

Jeden z współczesnych twórców artystycznych, przepoiwszy się i nauką współczesną, i życiem, i kulturą, zdołał wyzbyć się naleciałości wielkomiejskich, a sposób, w jaki to uczynił, umiejscowił w swych dziełach.

Nazywa się Wilhelm Bölsche.

Nie w celi klasztornej, ani na graniczące z niebem szczyty górskie przeniósł się wprost ze zgiełku wielkomiejskiego, lecz poprostu na wieś i to nawet nie obrał szmatu ziemi dzikiego, fantastycznego, tajemniczego, ani oazy, ani fiordu — lecz wioskę milutką, cichą a kojącą.

* *

Mam właśnie przed sobą dwa dzieła Bölschego.

Jedno przyrodnicze: *Liebesleben in der Natur*, drugie: zbiór estetycznych rozpraw p. t. *Hinter der Weltstadt*.

I wcale się nie przejmuję samą treścią tych książek: nie dążę za wywodami autora z dziedziny zagadnień przyrodniczych, nie zwracam tak wielkiej uwagi na rozprawki jego literacko-estetyczne, na ocenę

Hauptmanna, Novalisa, Fechnera, Ebersa, Grimma i in.; zachwyca mię głównie tło, na którem osnuł swe dzieła, tak zasadniczo różniące się od książek, które obecnie mam sposobność czytać. Jakaś nieznana a rzeźwiąca woń ulatuje z tych pięknie toczonych słów, jakiś niezwykły czar promieniuje dokoła tych paradoksalnych niekiedy myśli... Zgoła inaczej, niż u plejady innych...

Staram sobie zdać sprawę z tego dziwnego a tak miłego wrażenia... pojmuję wreszcie: to woń pól, lasów i ugorów, to czar przyrody otula treść tych książek, on to im tę oryginalność nadaje.

Posłuchajmy słów Bölschego, jak to dokonała się jego przemiana ze sebyłkowca wielkomiejskiego w „naturalistę.“

„Wśród zapachu tych ogromnych, samotnych lasów, które się widzi spływające po brzegi widnokręgu jak zielonawy kobierzec, obmywałem się powoli w ciągu lat z naleciałości wielkomiejskich fizycznie i duchowo... zbierałem owady na odległych drożynach leśnych, między kłodami drzewnemi a grubymi grzybami, prowadziłem filozoficzne i estetyczne dyskusye. I powoli nieokreślony ten głód, który mię wprzódy trawił, przemienił się w nasycenie; wreszcie urobiłem sobie z tego wszystkiego teoryę.

Jak łuski cebuli opadły ze mnie te najrozmaitsze nerwowe mędrkowatości i egzaltowane poglądy na świat, jakiemi się w wielkiem mieście przejąłem, a natomiast przystępowała inna zupełnie sfera myśli i uczuć. Wskutek tego odżywienia nietylko oddaliłem się zupełnie od życia wielkomiejskiego, lecz sądzę nawet, że jest ono pijawką, wysysającą nasze dobra duchowe. Im więcej pięter wznosi się pod tem niebem osnutem dymem, tem płytszą staje się atmosfera naszego ducha, tem bardziej drapanie po schodach gnębi objawy naszej wrodzonej inteligencyi. Zatraca się tam poczucie przyrody i sztuki..

Nie uczuwam teraz ani odrobiny tych tak łatwo znikających wrażeń zbiorowych, jakich nam dostarcza szkoła, stowarzyszenia, partya estetyczna lub filozoficzna. Silniej niż kiedykolwiek wyczuwam kontrast między nerwowem myśleniem i kształtowaniem się poglądu na świat w wielkiem mieście, z cichem skupieniem się tu po za miastem, nad sitowiem pokrytym brzegiem błyszczącego jeziora, gdzie dusza wciąż stopniuje swe nastroje...“

Kiedy temu zjawisku ucieczki przed światem stuku i huku, przed sferą dzikiej gonitwy za ideałem życia wtłoczonego w ramy pracy systematycznej, jak zegarek dobrze działający, bliżej w oczy spojrzymy, to odsłoni się istotnie wielka przepaść, dzieląca ten świat od przyrody rzeczywistej, „ruskinowskiej,“ niepoprzerzynanej szynami kolejowemi, niezdrutowanej połączeniami telegraficznemi, nieprzystosowanej do potrzeb i wygód człowieka. To też im subtelniejszą jest jednostka w swej wrażliwości, im bardziej w swem napięciu psychicznem się oddala od rzeczywistości, tem, oczywiście, silniej pożądać musi jak najbezpośredniejszej styczności z przyrodą. O krok dalej znajduje się tu sfera twórczości artystycznej. Oto jak Bölsche tłomaczy związek między tęsknotą ku przyrodzie a twórczością:

„Słońce zachodzi za toń. Bajeczne kolory przebłyskują z jeziora pokrytego lodem. Z przodu jedwabista, delikatna jeszcze zieleń; a powierzchnia lodu tworzy w perspektywie iście magiczną różowość. A w głębiach śpiewa rusałka... a lód błyszczy i dzwoni...

O takiej godzinie łatwo odnajduję *spójnię* między poglądem przyrodniczym, [illegible] *dzy miłością ku przyrodzie — a estetyką i sztuką.*“

Hymn, jaki Bölsche na cześć przyrody wyśpiewuje, entuzyazm, z jakim się do niej odnosi, miłość, jaką ku niej żywi — są objawem krzepiącym i bardzo dodatnim. Bo w czasach, kiedy poznanie natury stało się jej rozkrawywaniem— miłość ku niej jest silnym krokiem ku wskrzeszeniu powszechnego poczucia piękna przyrody, ale nie tej, którą sobie ludzie budują na maszynach, lecz tej tam daleko, za murami miejskimi, tam na polach, lasach, jeziorach, hen po krańce widnokręgu.

Wtedy i sztuka brzmi hymnem, nie tonem dokumentu, wtedy przestaje być bożyszczem, ucztą rycerzy złotego stołu, misteryum dla wybranych dusz — jak chciał dekadentyzm; wtedy szeroką strugą płynie między rzesze, wtedy staje się koniecznym pierwiastkiem ludzkości. „Sztuka jest dla człowieka konieczną—powiada Bölsche — jak chleb codzienny; kultura wszelka się zapadnie, jeśli za nawias z niej weźmiemy sztukę; rozwój ludzkości opiera się na sztuce, odbija się w sztuce, w niej poznać go można.“

Lecz jakim być ma człowiek, by sztukę tak pojąć zdołał. I tu Bölsche podaje dwa typy ludzkie. Ciekawem jest w tym podziale, że, opierając się o kategorye darwinowskie, dochodzi zgoła do odmiennych wyników.

„Powiadasz, że człowiek pochodzi od małpy?

Tak, o tem wróble na dachu świergocą.

Profesorowie tego uczą. I filister zaczyna w to wierzyć. A ludzie za łby się o to wodzą. Lecz: daliście się bardzo oszukać. Bo zdanie to nie brzmi tak wcale.

Kwestya, jest bowiem, czyśmy już sami w sobie pokonali małpę.

Czy—każdy z osobna—rzeczywiście już jesteśmy ludźmi.

Prawdziwa granica między zwierzęciem a człowiekiem nie znajduje się gdzieś w pomroku zamierzchłej przeszłości, gdzieś między kościotrupami, z których jeden ma kule mózgowe o kilka centymetrów większe niż drugi.

Granica ta bieży między ludźmi dzisiejszymi jak ogromne, krwawe przecięcie.

Oddziela ona człowieka *dążącego do uświadomienia, od człowieka, żyjącego tylko.*“

Gdziekolwiek też podział przeniesiony, czy w sferę miłości, czy sztuki — wszędzie się krwawić będzie ta straszna granica. Obie najintensywniejsze pobudki życia doznają rozdźwięku wskutek tego podziału człowieka na dążącego do ewolucyi i „żyjącego tylko“ t. j. tkwiącego bez poruszenia w ciasnym widnokręgu, który sobie zakreślił.

W sferze miłości rozdźwięk ten objawia się wskutek tego, „iż nie jesteśmy tylko samem zwierzęciem, ani z drugiej strony zupełnym człowiekiem.“ Chcesz naprzykład kochać w noc letnią, bez pamięci, bez promienia myśli, tak jak zakochane ćmy, co nocą tan miłosny zawodzą— lecz jak hydra legendowa ogarnia cię: bojaźń, troska, wstyd, wyrzuty sumienia, tysiące form, przeszkód, powątpiewań. „Tkwisz w nieustannych mękach. Nie jesteś ni drzewem ni muszlą—lecz jeszcze nie człowiekiem uświadomionym, wyzwolonym.

A przenosząc ten rozdźwięk w sferę sztuki, tem większą znajdziemy przepaść między ludźmi: bo jeden żyje tylko, a drugi sięga okiem dalej—dalej,—by wreszcie popaść w pesymizm i zapytać:

„Czem jestem? czem jestem ja, który wypływam na te świetlane przestworza, by jutro się zapaść w wieczne ciemności?“

I tu wróciliśmy do „Leitmotivu.“ poglądu Bölschego. Człowiek i przyroda! Stosunek jaki między nim a nią, najszerzej pojętą, zachodzi, przejmuje go troską i do reformy wzywa.

On sam znalazł środek poprawczy dla swej osoby. Wprost z wiru życia wielkomiejskiego rzucił się na łono przyrody. I to go uzdrowiło.

Z rzeczowego materyału, jaki zawierają dzieła Bölschego, nic do rozważenia nie obrałem: zastanowiłem się szerzej tylko nad tłem, na jakiem osnuł swe prace artystyczne. Bo ono głównie ma dla mnie wartość czegoś oryginalnego, bardziej cennego, jak — zresztą wielce zajmująca — treść samych dzieł. Widziałem w tym uczonym, mądrym i kulturalnym człowieku przykład osobnika, który swym tęsknotom nadał uchwytne kształty, a potem je przezwyciężył. Uczuł w sobie coś więcej niż systematycznego pracownika— i zdala od zgiełku począł działać.

W czasie, kiedy tyle się wałęsa cierpiących jednostek właśnie wskutek rozdźwięku między tęsknotą a jej spełnieniem, przykład Bölschego winien jaśnieć prostotą swego wykonania i zbawiennością skutków.

*Bertold Merwin.*

---

## SPRAWY EKONOMICZNE

### ZMIANA USTAWY.

W miesiącu ubiegłym dokonano bardzo ważnej reformy instytucyi, w której skupiają się interesy paru tysięcy obywateli m. Warszawy. Najwyższą dotychczas władzę Towarzystwa kredytowego miejskiego zniesiono, a natomiast wprowadzono przedstawicieli, którzy będą czuwali nad rozwojem i losem tego ogniska. Reforma ta, jakkolwiek była przewidywana oddawna, spadła jednak prawie nagle i wywołała gorączkę śród stowarzyszonych.

Zasadniczą zmianę ustawy, Najwyżej zatwierdzonej jeszcze w r. 1869, dokonano na mocy rozporządzenia ministra skarbu, który uznał za potrzebne skasowanie istniejących dotąd ogólnych zgromadzeń wszystkich stowarzyszonych. Na mocy ogłoszenia tych nowych przepisów w *Zbiorze praw,* kancelarya kredytowa zaleciła niezwłoczne wprowadzenie ich w życie, tj. zwołanie zgromadzeń wyborczych celem dokonania wyborów 210 reprezentantów na trzy lata. Wybory już się odbyły i oto nad instytucyą czuwa nowy organ, ciało zbiorowe, złożone z 210 osób. Zebranie reprezentantów jest tedy najwyższą instancyą, rozstrzygającą ostatecznie wszystkie sprawy i interesy Towarzystwa na mocy ustawy. Czynności te są następujące: wybór lub złożenie z urzędu dyrektorów i członków komitetu; zatwierdzenie planów działalności Towarzystwa; rozpatrywanie i zatwierdzanie sprawozdań Towarzystwa; zwiększanie lub zmniejszanie stopy procentowej od listów zastawnych i pożyczek; zmiany ustawy; roztrząsanie i rozstrzyganie wszelkich wniosków stowarzyszonych i uchwały co do propozycyj rządowych; postanowienie zlikwidowania Towarzystwa. Wszystkie te sprawy dotychczas były w mocy zniesionych ogólnych zgromadzeń.

W jaki sposób zmiana ustawy wpłynie na rozwój i losy instytucyi — trudno dziś z całą dokładnością przewidzieć. Przed wprowadzeniem tych zmian wypowiadano różne zdania; między innemi powoływano do wyrażenia opinii rzeczoznawców-prawników.

P. S. Libicki w *Kuryerze Codziennym* wykazał drogi, któremi przepisy przedostały się do naszej instytucyi: Organ reprezentantów nie jest formą nową. Jeszcze w r. 1886 z mocy Najwyżej zatwierdzonego zdania Rady państwa, ogólne zgromadzenie-członków Towarzystwa kredytowego miejskiego w Petersburgu zastąpiono przez reprezentantów. Taką samą zmianę wprowadzono również w Towarzystwie

kredytowem odeskiem, na mocy uchwały Rady państwa z listopada 1893 r. Fakty te wymownie świadczą, że ministeryum skarbu systematycznie dąży do skasowania ogólnych zebrań towarzystw kredytowych w wielkich miastach, gdzie zazwyczaj jest bardzo znaczna liczba członków. „Zwróciła na siebie uwagę ogólną — mówi p. Libicki — przedewszystkiem sama forma wydania nowych przepisów; pochodzą one bowiem nie od organów, reprezentujących władzę prawodawczą, lecz od ministeryum skarbu; dlatego prawnikom nadewszystko nastręczyła się kwestya, czy w ustawie, sankcyonowanej w roku 1869 przez Monarchę, mogą zajść tak radykalne zmiany z mocy przepisu ministeryalnego. Brzmienie zasadniczych przepisów państwa rosyjskiego, zdawałoby się, jest temu przeciwne. Z art. 73 wypływa, że uchylenie i zmiana jakiegobądź prawa może nastąpić tylko w takiej samej drodze, w jakiej uchwalonem zostało, a art. 79 praw zasadniczych wyraźnie mówi, że prawa wydane dla jakiejbądź gubernii lub dla pewnej kategoryi osób nie mogą być uchylone przez nowe prawo ogólne, jeśli w niem niema wyraźnego postanowienia.“

Prawodawca rosyjski nie zabrania tym, którzy prawo stosują, samodzielnej oceny, czy przepis wydano w drodze właściwej; świadczą o tem artykuły: 75, 77 i 78, według których, „jeśli w cyrkularzu lub rozporządzeniu ministra komunikuje się instytucyom i osobom podwładnym rozkaz Najwyższy, na którego mocy uchylałoby się prawo albo przepisy o organizacyi, wydanej z podpisem Monarchy, to obowiązane są wstrzymać wykonanie i zakomunikować senatowi. Tak samo powinny postępować władze, gdy zauważą, że rozporządzenia i instrukcye osobiste ministra zmieniają w czemkolwiek prawo lub organizacye istniejące.“

Ministeryum skarbu zaprowadza w organizacyi towarzystw kredytowych miejskich zasadnicze zmiany na zasadzie specyalnego upoważnienia z d. 15 listopada (s. st.) 1893 r., które brzmi: „W towarzystwach kredytowych miejskich, mających więcej niż 300 członków, ogólne zgromadzenia mogą być według uznania ministra skarbu zastąpione przez pełnomocników i niezależnie od starań o to samych towarzystw.“

Według art. 57 praw zasadniczych, ogłaszanie wszelkich praw obowiązkowych należy do senatu; skoro więc ten, po otrzymaniu jakiegoś przepisu ministeryalnego, nakaże zamieścić go w wydawnictwie „Zbioru praw i rozporządzeń,“ tem samem stwierdza, że minister miał prawo wydać rozporządzenie i że ma ono stać się prawem obowiązującem. Otóż z chwilą, gdy przepisy o zastąpieniu ogólnych zgromadzeń Towarzystwa kredytowego m. Warszawy przez zebranie reprezentantów ogłoszono w „Zbiorze praw,“ otrzymały one moc obowiązującą. Do takiego właśnie wniosku doszli i prawnicy, którzy na życzenie grupy stowarzyszonych mieli wypowiedzieć swoje zdanie.

Fakt zatem jest już dokonany. Jakiemi pobudkami kierowały się sfery właściwe, nakazując tę zmianę? — Prawdopodobnie zgromadzenia ogólne w miastach wielkich uważano za aparat zbyt ciężki. Istotnie, w niektórych miastach Cesarstwa tak było. Załatwienie spraw niekiedy bardzo ważnych udaremniały burzliwe i chaotyczne posiedzenia, niekiedy dochodzące nawet wprost do zakłócenia porządku. Jakkolwiek do Tow. kred m. Warszawy należy przeszło 3,000 członków, stojących na najrozmaitszych szczeblach poziomu umysłowego i etycznego, to jednakże takich zajść nigdy nie było. Zebrania ogólne, gromadzące po parę tysięcy osób, bywają istotnie dość gorące, ale nie przekraczają granic, po za któremi zaczyna się zakłócanie spokoju i porządku, tudzież zniesławianie samej organizacyi. Nasze Towarzystwo rozwijało się pod opieką zebrań ogólnych przeszło trzydzieści lat. Pod niektórymi względami procedura niewątpliwie będzie uproszczona. Ubędzie balast, tj. ludzie niewyrobieni lub małostkowi, dbający wyłącznie o swój osobisty interes, a nawet prawie ciemni, którzy wprowadzali zamęt i przeciągali obrady. Raptowne wprowadzenie tej reformy wywołało nadzwyczajną gorączkę agitacyjną, no, i pociągnęło za sobą niesłychanie uciążliwą, pełną błędów i niedokładności procedurę wyborów. Trwały one bez przerwy po 13 i 14 godzin (od 5-ej po południu, do 6 i 7-ej rano).

Regulamin wyborów ustanowiono następujący: Wszyscy stowarzyszeni dzielą się na trzy grupy, z których każda wybiera po 70 reprezentantów na trzy lata i po 10 zastępców. Do grupy I-ej należą ci stowarzyszeni, którzy posiadają najwyższe pożyczki Towarzystwa, wynoszące ogółem $^1/_3$ wszystkich pożyczek wydanych. Do tej grupy należą właściciele, których nieruchomości obciążone są pożyczkami, wynoszącemi każda po 48,000 rb. Do grupy 2-ej należą stowarzyszeni, którzy posiadają z kolei największe pożyczki, wynoszące również $^1/_3$ ogólnej sumy pożyczek (właściciele, których nieruchomości obciążone są pożyczką przeszło po 26,000 rb.). Do 3-ej należą wszyscy pozostali stowarzyszeni. Każda grupa ma prawo wybierać przedstawicieli z całego ogółu stowarzyszonych, wymienionych na liście wyborców.

Zmieniona ustawa, wprowadzona nagle, przed zwykłym terminem ogólnego zgromadzenia i bez udziału tej instancyi, wywołała różne wnioski. Przedewszystkiem obawiano się zapanowania śród pełnomocników żywiołu niepożądanego i szkodliwego: spekulantów, których Warszawa liczy znaczny procent w gronie swych obywateli. Jakoż istotnie prowadzono bardzo żywą agitacyę na ich korzyść. Na szczęście po wielu mozołach rezultat osiągnięto względnie pomyślny. Same jednak wybory ujawniły wiele rysów znamiennych. Dopiero na sali wręczono listy wyborcze dla podkreślenia 80 nazwisk przedstawicieli i ich zastępców. Ta czynność, a następnie obliczanie głosów pochłonęły właśnie noc całą. Według prawa, za wybranych należy uważać tylko tych, którzy otrzymają absolutną większość głosów. W razie zaś, gdy nie wszyscy kandydaci otrzymają potrzebną większość, to dla wyboru reszty trzeba utworzyć podwójną listę z tych, którzy otrzymali z kolei największą liczbę głosów po pierwszem głosowaniu. Dopiero na podstawie tej listy można przystąpić do nowych wyborów. Otóż taka czynność, niezmiernie uciążliwa, pochłania bardzo dużo czasu. Znaczna większość zmęczonych nad ranem wychodziła i dzięki temu zaledwie nieliczna garstka dokonywała nowych wyborów. Okazało się, iż na trzech listach umieszczono mnóstwo tych samych nazwisk. Tymczasem kandydaci, wybrani przez jedną kuryę, nie mogą już być powołani na przedstawicieli przez drugą. Skutkiem tego zachodzi konieczność pospiesznego uzupełniania listy. W takich warunkach niepodobna zastanowić się nad kwalifikacyami kandydatów, którzy, doryweczo wybrani, mogą być wcale nieodpowiednimi do spełniania ważnych zadań obywatelskich.

Wogóle wybory odbyły się zanadto pospiesznie i gorączkowo. Cały zaś regulamin, dotąd nieznany, musiał nawet wywołać omyłki, jak np. nieprawidłowe obliczanie głosów, co pociągnęło za sobą poprawki, pochłaniające kilka godzin, a nadto - zmiany w wynikach.

Już się jednak stało. Przedstawiciele i ich zastępców wybrano we wszystkich kuryach. Nowy więc organ zbiorowy naszej instytucyi rozpoczyna swoją działalność. Jakie będą jej owoce — przyszłość pokaże. Tymczasem śród wielu stowarzyszonych panuje gorycz, wypływająca z ambicyj niezaspokojonych lub poczucia krzywdy mimowoli popełnionej skutkiem pominięcia tych, którzy może czują się na siłach do poświęcania swych usług dobru ogólnemu. Za trzy lata zapewne przybędzie doświadczenia, które uprości procedurę wyborów i pozwoli ogółowi stowarzyszonych lepiej się przygotować.

*Zen. Piet.*

# KŁOSKI.

**„Dławce.“** Kto to są owe „Dławce“ (właściwie „dławcy“, których p. Wawrzeniecki chwycił w swej broszurze za gardło? Przedewszystkiem Witkiewicz, który dusił Matejkę, następnie Towarzystwo Zachęty, wrogie nowatorom, dalej pisma warszawskie ze swą płytką i morderczą krytyką. „Krwawo i na oślej skórze — powiada autor — pisane będą kiedyś te zapasy, jakie wszelka myśl odmienna, ewolucyjna staczać musi w Warszawie już nie ze społeczeństwem, ale z inteligencyą i prasą... Nikt w Warszawie mniej się na sztuce nie rozumie, niż wydawcy i kierownicy pism.“ Bagatela! Pozostaje tylko milczenie i basta! Już to Warszawa była zawsze dla malarzy oślicą. Nikt żadnemu miastu nie nagadał tyle obelg i złorzeczeń, ile oni „syrenemu grodowi,“ i gdyby ten gród miał uszy, wszak byłby za nie przez nich targany. A o co im chodzi? O to, że my przeklęci przez Apollina obrazów nie kupujemy i na malarstwie się nie znamy, zwłaszcza na nowych jego kierunkach. Właściwie ślepota ogarnęła nas tylko wobec ostatnich. Bo przecie Matejko, Siemiradzki, Chełmoński, Brandt Kossak i inni nie potrzebowali łamać naszego oporu i odrazu odebrali od nas hołdy. Więc nasze barbarzyństwo wylazło jedynie wobec ostatnich *izmów*.

A czy te *izmy* wszędzie są obnoszone w uroczystej procesyi? Nie zawadziłoby troszeczkę sprawiedliwości nawet dla „dławców.“

P. Wawrzeniecki, upominając się o krzywdę lekko traktowanego olbrzyma, jakim był Matejko, powstając przeciwko bezmyślności w malarstwie i przecenianiu robót wyjałowionych z wszelkiego „sensu,“ żądając poparcia i opieki dla nowych przejawów twórczości — ma zupełną słuszność; ale myli się oddając je w monopol artystom i przyznając im rozstrzygający głos w krytyce. Oni bowiem prawie zawsze są sekciarzami, widzącymi doskonałość i zbawienie sztuki tylko w wyznaniu swej rzeszy, nieumiejącymi sądzić bezstronnie i stać po nad walczącymi oddziałami. Wszyscy oni są względem przeciwników „dławcami,“ a raczej wszyscy fanatykami. Tymczasem największą mądrością w tej sprawie jest tłomaczyć różnorodność objawów, a nie potępiać ich. Gierymski ma swoją racyę bytu, a Podkowiński swoją — po co się uderzać głowami i rozbijać jedną lub drugą?

**Filharmonia.** Mamy nareszcie w Warszawie babę wielkanocną, której na imię Filharmonia. Czyjeś ręce i nogi (w Warszawie nazywa się to serce) spieszyły się ogromnie, żeby gmach stanął jak najprędzej. Dzięki temu obok harmonijnych rzeźb Lewandowskiego na najwyższych szczytach zdobią gmach cztery skamieniałe imitacye Szopena, Mozarta, Bethovena i Moniuszki. Tulą się ci ludziska do ściany frontowej, skazani na wieczystą wartę przy nieudolności ludzkiej. Z obszernego przedsionka (najładniejsza część gmachu) wiodą schody do sali koncertowej. Tu, gdy się zastanowimy nad kwestyą pożaru, dreszcz trwogi wstrząsa naszem ciałem: uczyniono wszystko, ażeby utrudnić łatwy wstęp do sali, łatwą z niej ucieczkę. Ale spojrzyjmy na sufit sali koncertowej. Po co rozmyślać o przyszłych wypadkach, kiedy na plafonie głównym już zaszedł na wszystkie czasy fatalny wypadek: oto panowie Kozłowski (autor gmachu) i Strzałecki (autor plafonu) skuszeni widocznie pięknością ciał cór Apollinowych, nie ważąc się jednak ukazać swych w XIX stuleciu zaprojektowanych kształtów, usiedli skro-

mnie na chmurze, jeden w marynarce, drugi w prześcieradle. Doprawdy, możnaby pomyśleć, że w niedokończonym gmachu malarz budowniczemu uczynił figla, który jednak w porę przemalowany zostanie. Słyszałem o pewnym podwładnym, który odznaczał się niesłychanym dowcipem. Jegomość ten co rano, stosując się do życzenia swego zwierzchnika, przynosił mu na kartce dowcipy i — znikał za drzwiami. Na zapytanie, dlaczego tak szybko ucieka, odparł

— Ekscelencya, słyszę to za drzwiami, ogromnie zaszczyca moje banialuki i śmieje się z nich tak serdecznie, że, że... mógłbym i ja się roześmiać.

Są w Warszawie humoryści, którzy od czasu do czasu podsuwają naszym dobrodziejom własnego pomysłu koncepty. Niekiedy mają one charakter poważny, lecz nigdy wytrzymane nie są, gdyż w rezultacie zawsze w nich przeważy jakaś drżączka podwładnego, niewolniczy pośpiech w wykonaniu, po którym następuje, tak zwany, skromny odlot za drzwi przed zachwytem dobrodzieja Warszawy. Ale ten, który się tak potulnie ukrywa, gdy jest sam, zaciera ręce i szepce:

— Brzydota, bo brzydota, ale jest nam dobrze z tą chałupą, a przytem oni tacy kontenci.. Spróbujcie namówić humorystę, żeby zajrzał w takiej chwili do gabinetu ofiarodawcy:

— Nie chcę, zawoła, mógłbym się roześmiać, dla czego nie ma być wszystko w poważnym stylu?

Dobrze, ale niechże przynajmniej służba w Filharmonii nie ma miny dobrodziejów. Atmosfera ofiary tak zapłodniła ten gmach, że niedługo wyprężony Moniuszko odwracać będzie głowę od wszystkich, prócz pana Kronenberga. (Na pana Rajchmana zdaje się spoglądać z pod oka zrozpaczony Bethoven)

W kasie dzieją się podobno z biletami różne nadprzyrodzone figle, koncerty symfoniczne ogołocono ze wszystkich przynęt, na które w zapowiedziach jak na wędkę pobrano publiczność W kontramarkarniach trudno się doprosić o okrycia, a wyfraczona służba zdradza usposobienie „heroique“ ale z nad brzegów Wisły.

Sądzę, że są to usterki do poprawienia. Podczas feryj możnaby plafon w sali koncertowej przemalować, służbę poddać tresurze, rzeźby na froncie uszlachetnić, a nawet z czasem i wiele innych rzeczy, do stanu przyzwoitości doprowadzić. Gdybyż ten koncept przyszedł podwładnym ku rozbawieniu zacnych ofiarodawców.

*tu.*

## NA MARGINESIE.

— Amerykański wydawca Hatchinson wydał zoologię ilustrowaną fotografiami zdjętemi ze zwierząt dzikich na miejscu w środowisku im właściwem. W tym celu zwrócił się do myśliwych i amatorów fotografów całego świata; prócz tego sam wysłał umyślne ekspedycye w rozmaite części świata. Jego „Living Animals of the World“ jest pod względem ilustracyjnym książką niezmiernie ciekawą, jedyną i niezwykłą. Lord Delamer, słynny myśliwy, dostarczył Hatchinsonowi wiele nadzwyczaj rzadkich fotografij ze wschodniej części Afryki środkowej, gdzie spędził 2 lata z 200 krajowcami i 2 europejczykami, polując na grubego zwierza. Oto jeden z wypadków fotograficznych: „ekspedycya skierowała się do miejscowości w Ugandzie nazywanej: „obozem lwów.“ Zamierzano odszukać lwa-ludojada; który szerzył klęski wśród ludności okolicznej. Oczy myśliwych pilnie oglądały każdy krzew, każdy załom drogi. Wtem z zarośli wysunęła się olbrzymia głowa drapieżnika, śledzącego ognistym wzrokiem zbliżających się ludzi. Na czele jechał fotograf ze swym aparatem na niewielkim koniku. Niewiele myśląc zeskoczył z siodła i zbliżył się do lwa na 150 yardów. Orszak zatrzymał się pełen zdziwienia i z trwogą patrzał, co będzie dalej. Gdy fotograf schował się pod sukno, lew zaczął okazywać niezadowolenie, fotograf - również. Mimo to zdjęcie powiodło się. Naówczas lew zmienił pozycyę i stanął bokiem, jak gdyby zapraszając do zdjęcia w profilu. Dopiero gdy i to zostało dokonane, zwierz zwrócił się wolno i majestatycznie ku artyście. Ten uciekł pod obronę towarzyszów. Lew obejrzał i obwąchał aparat i równie wolno odszedł. Fotograf zdążył go jeszcze zdjąć w odwrocie...“ Nie zawsze i nie dla wszystkich równie dobrze kończyły się te niezwykłe polowania na portrety. Przyznać jednak należy, że najczęściej ofiarami padały... aparaty, które do pewnego stopnia ratują fotografów, ściągając na siebie uwagę zwierząt. Nadzwyczaj trudne były zdjęcia ryb—rekina wieloryba i innych...

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** *Graždanin* donosi, iż w drodze prawodawczej rozpatrywany będzie projekt przepisów o dzieciach nieprawych. Projekt znosi nazwę „dzieci nieprawych“ i zamienia ją na „dzieci nieślubne.“ Dzieci tego rodzaju mają korzystać z praw spadkowych oraz nosić nazwisko ojca. Posiadany przez ojca tytuł nie będzie jednakże przechodził na dzieci nieślubne.

— Celem ulżenia niedoli starców, kalek i dzieci bezdomnych, oraz usunięcia żebractwa ulicznej w Łowiczu powstaje Tow. pomocy dla biednych.

— Przy ministeryum skarbu ma być utworzona komisya z udziałem przedstawicieli ministeryum rolnictwa w celu obmyślenia środków przeciwdziałania fałszowaniu artykułów spożywczych i produktów gospodarsko rolnych.

**Muzeum Chopina.** Istniejąca przy Tow. muzycznem sekcya im. Chopina zwraca się do wszystkich, którym sztuka polska nie jest obojętna, z prośbą o nadsyłanie pamiątek, choćby najdrobniejszych, po Chopinie, wszystkiego, co może mieć z nim jakąkolwiek łączność. Sekcya zamierza utworzyć muzeum im. Chopina. gdzie zebrane ku uczczeniu wielkiego muzyka pamiątki o nim, znalazłyby zabezpieczenie od zagłady.

**Wydawnictwo** We Lwowie. z początkiem roku przyszłego. zacznie wychodzić kwartalnik poświęcony umiejętnej historyi i krytyce literatury polskiej. Wydawnictwo to podejmie Tow. imienia A. Mickiewicza. W kwartalniku będą pomieszczane sprawozdania z literatur obcych. dające obraz nowych kierunków, metod, lub przedstawiające ważne teorye krytyki literackiej.

**Szkoły.** *Nowosti* donoszą, iż powstał projekt założenia w Petersburgu wyższej szkoły handlowej, na wzór akademij zagranicznych.

— Ministeryum oświaty opracowało projekt przepisów o zaprowadzeniu w średnich zakładach naukowych czasopism uczniowskich, pod redakcyą jednego z nauczycieli; artykuły pisaliby uczniowie dwóch klas najwyższych.

— Na utrzymanie kijowskiego instytutu politechnicznego w r. 1902 przeznaczono 381,700 rubli, o 35,000 rb. więcej, niż w roku bież.

— W celu opracowania ogólnego planu nauk przyrodniczych w szkołach początkowych, ministeryum oświaty poleciło wszystkim kuratorom okręgów naukowych utworzyć komisyę, do której wejść mają nauczyciele tego przedmiotu.

— Ministeryum uznało sprawę sprzedaży książek przy szkołach miejskich za obowiązkową.

— Zaprojektowano utworzenie przy zborze ewangelicko-augsburskim zakładów naukowych, męskiego i żeńskiego, z prawami rządowemi i dla wszystkich wyznań.

— W niektórych szkołach handlowych w Warszawie dopuszczono już, na równi z nauczycielami. lekarzy szkolnych do sesyj rad pedagogicznych.

— Według nowych przepisów, założycielami szkół prywatnych mogą być, oprócz osób pojedynczych, także przedsiębiorstwa handlowo przemysłowe, towarzystwa naukowe, dobroczynne, zarządy miejskie itp. Uczelnie takie mogą być trojakiego rodzaju. elementarne, początkowo typu wyższego i średnie, oraz kursy czasowe i stałe

**Z uniwersytetów.** Ministeryum oświaty nadesłało kuratorowi warszawskiego okręgu naukowego projekt przepisów o wolnych słuchaczach, według którego ci, którzy pilnie uczęszczają na wykłady, prowadzą się moralnie i zasługują na zaufanie, mogliby być dopuszczani do egzaminów przejściowych na równi z innymi studentami. Patenty z ukończenia uniwersytetu mogliby otrzymywać na ogólnych zasadach, pod warunkiem uzyskania przedtem świadectwa dojrzałości lub nawet i bez tego ostatniego warunku, jeśliby władza uniwersytecka wystąpiła o to z prośbą do wyższej.

— Ministeryum oświaty otrzymało odpowiedzi na rozesłany do izb sądowych kwestyonaryusz w przedmiocie reformy zajęć praktycznych na wydziałach prawnych w uniwersytetach. Na pytanie pierwsze: w jakim kierunku najwidoczniejszem jest nieprzygotowanie do działalności praktycznej skończonych prawników, odpowiedź brzmi: studenci prawnicy po skończeniu uniwersytetu zaledwie mają powierzchowne pojęcie o prawie materyalnem i formalnem i nie potrafią zupełnie zastosować swych skromnych wiadomości z obowiązującego prawa do życia praktycznego; nie mają nawet wyobrażenia, jak trzeba na piśmie wykonać najzwyklejszy referat prawny. Na pytanie drugie: w jaki sposób możnaby uzupełniać wiadomości praktyczne podczas studyów teoretycznych w uniwersytecie — wszystkie odpowiedzi doradzają zaprowadzenie systematycznych zajęć praktycznych pod kierunkiem profesora-praktyka, w rodzaju zadań piśmiennych, ustnych referatów, rozpraw itp., podczas których roztrząsanoby zagadnienia prawa formalnego i materyalnego, zaczerpnięte z istotnych spraw. jakie toczyły się w miejscowych instytucyach sądowych. Na pytanie trzecie: czy możliwem jest powierzenie wydziałom prawnym uniwersytetów pewnej części obowiązków spełnianych teraz przez sądownictwo. w celu praktycznego obznajmiania z procedurą sądową studentów jeszcze na ławach uniwersyteckich i, co za tem idzie, skrócenie następnie terminu aplikacyi sądowej — zapytywane instytucye odpowiedziały jednomyślnie przecząco.

— W uniwersytecie lwowskim, na wydziale filozoficznym, opracowano memoryał w sprawie potrzeby utworzenia drugiej katedry literatury polskiej. Na nową katedrę przedstawiono trzech kandydatów: prof. Brucknera z Berlina, dr. P. Chmielowskiego i dr. J. Kallenbacha.

**O medal szkolny.** Do ministeryum oświaty wystąpiła uczennica jednego z gimnazyów żeńskich, pochodzenia żydowskiego, o przyznanie jej, na mocy stopni celujących, z jakimi skończyła gimnazyum, medalu złotego, którego nie dostała z powodu braku na patencie stopnia z nauki religii. W tej sprawie władza ministeryalna nadesłała wyjaśnienie, iż tę kategoryę uczących się stopień religii nie obowiązuje, a więc, posiadającym wszystkie stopnie celujące, medal przyznawać należy. Jeżeli kandydatowi do medalu brak stopnia celującego ze sprawowania, w takim razie przyznanie medalu zależeć ma od uchwały rady pedagogicznej.

**Nauczyciele** Wydano rozporządzenie, ażeby osoby, dopuszczane na prawach nauczycieli domowych do wykładu niektórych przedmiotów w zakładach naukowych, były wyłącznie wyznania chrześcijańskiego.

**Dla kobiet.** W warszawskiem Towarzystwie farmaceutycznem podjęto projekt utworzenia prywatnych kursów farmaceutycznych dla kobiet.

**Muzyka w szkołach.** W niektórych gimnazyach i w szkole realnej rozpoczęto wykłady muzyki od zasad teoretycznych, w celu przystąpienia następnie do nauki gry na instrumentach, z której korzystać mają uczniowie posiadający słuch muzykalny. Oprócz gry wykładaną będzie także nauka śpiewu.

**Prasa** Minister spraw wewnętrznych postanowił: zawiesić wydawnictwo gazety *Ruskija Wied.* na tydzień, oraz udzielić pierwsze ostrzeżenie czasopismom *Woschod* i *Peterb. Wiedom.*

**Cło.** W ministeryum skarbu podniesiono projekt podwyższenia cła od kwiatów i owoców, sprowadzanych z zagranicy.

**Zjazdy.** Na odbytym w Petersburgu zjeździe pszczelarzy postanowiono utworzyć komisyę, która ma zbadać gruntownie kwestyę praw i obowiązków pszczelarzy, oraz potrzebę ochrony racyonalnego pszczelarstwa przez wydanie odpowiednich przepisów.

**Kasy.** Przy warszawskim urzędzie powiatowym powstała kasa pogrzebowa, której członkowie płacą po rublu na rzecz spadkobierców w razie śmierci jednego z jej uczestników. Liczba członków każ-

dej seryi obejmuje 500 osób. — Obecnie powstał projekt urządzenia podobnej kasy dla kobiet wychodzących za mąż; w dzień ślubu wypłacanoby im 500 rb. posagu.

**Zdrowie publiczne.** Z inicyatywy dr.: J. Kosińskiego, H. Dobrzyckiego i A. Przyborowskiego powstać ma w okolicach Otwocka, w lasach dóbr Brzegi, pow. Nowomińskim, sanatoryum dla dzieci osłabionych i anemicznych.

— Dżuma ukazała się znowu w Konstantynopolu d. 28 z. m.

**Górnictwo.** Departament górniczy postanowił rozszerzyć działalność komitetu badań geologicznych na Królestwo Polskie.

— Wobec tego, iż wypadki nieszczęśliwe w kopalniach i hutach, niezależnie od innych przyczyn, powstają także wskutek niedoskonałości w urządzeniach i w sposobach prowadzenia robót, ponieważ rezultaty śledztw i dochodzeń przyczyn wypadków nie przedostają się do wiadomości ogółu, a przechowują w aktach archiwalnych zarządów górniczych, przyczem zdarza się często, że wypadek, który zaszedł w jednym okręgu górniczym, pozostaje nieznany innemu okręgowi lub kopalni i hucie, przeto departament górniczy uznał za niezbędne ujawniać przyczyny wypadków szerszemu ogółowi i w tym celu postanowił dokonać zbadania naukowego protokółów o wypadkach nieszczęśliwych, poddać je systematycznemu obrobieniu i wydać oddzielną książkę, uzupełniając stopniowo materyał ten notowaniem wypadków, jakie się będą zdarzać w przyszłości.

**Koleje i komunikacye.** Otworzono ruch pociągów osobowych i towarowych na nowo wybudowanej odnodze bucharskiej Środkowo-Azyatyckiej drogi żelaznej.

— Ponieważ niektóre towary, przewożone kolejami żelaznemi, ulegają zepsuciu z powodu braku wentylacyi, ministeryum poleciło, aby towary takie przewożone były w wagonach z odpowiedniemi urządzeniami, za co dozwolono pobierać dodatkową opłatę po rublu od wagonu.

— Postanowiono zakładać liczne szkoły dla niższych oficyalistów kolejowych.

— Podniesiono sprawę ustanowienia bezpłatnych lub ulgowych biletów na przejazd do Petersburga i z powrotem dla uczestników zjazdu przedstawicieli rad opiekuńczych i dyrektorów szkół handlowych, który odbędzie się w styczniu r. p.

**Pomnik** na grobie Heinego odsłonięto d. 24 listopada na cmentarzu Montmartre w Paryżu.

**Spis ludności**, dokonany w ostatnim czasie w Stanach Zjednoczonych, wykazał, że ogólna liczba mieszkańców wynosi 76,303,387 osób, mężczyzn o 1,800,000 więcej, niż kobiet.

**Nagrody.** Uniwersytet w Kopenhadze przyznał Jerzemu Brandesowi 5,000 koron rocznie, jako nagrodę honorową.

**Wystawy.** Zamknięta d. 15 listopada w Buffalo wystawa przemysłowa przyniosła około 3 milionów dolarów strat.

— Wystawa międzynarodowa urządzona będzie w Kopenhadze w r. 1904.

**Przemysł i handel.** Senat rządzący w okólniku rozesłanym do wszystkich Izb skarbowych wyjaśnił, iż przy określaniu dochodów z domów fabrycznych, przeznaczonych na mieszkanie dla robotników, należy takie domy uważać jako zwyczajne dochodowe, bez względu na to, czy robotnicy i urzędnicy fabryczno-administracyjni, zamieszkujący je, płacą za mieszkanie lub nie.

— Zatwierdzono ustawę warszawskiego Towarzystwa mleczarskiego.

**Zmarli.** Juliusz Stattler, syn Wojciecha, prof. krak. szkoły sztuk pięknych i Rzymianki Klementyny Colonna-Zerboni. Choć urodzony w Krakowie, od r. 1862 mieszkał stale w Warszawie, bardzo ceniony jako sumienny i zdolny nauczyciel śpiewu chóralnego. Jako profesor w Instytucie muzycznym w szkole ociemniałych i innych zakładach miał pod wpływem swoim liczne zastępy ludzi, którzy mu zawdzięczają nietylko uzdolnienie fachowe. Była to natura nawskróś szlachetna i dobra; w pracy niezmordowany, w osobistych wymaganiach skromny, żył jak prawy obywatel tego kraju, starając się czynić dobrze dla swych ziomków.

— Stanisław Pluciński, w Lesznie, w W. Ks. Poznańskiem; doktór praw i radca sprawiedliwości. Żył lat 45.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Panu Januszewskiemu.* Nadesłanego rękopisu nie będziemy drukowali. Tego rodzaju akrobatyka literacka nie nadaje się do charakteru naszego pisma.

*Pani M. W.* Jeżeli faktowi zapobiedz nie można, to i walczyć nie warto, tem bardziej, że „co to będzie“ nie wiemy. Krytykować zaś można tylko to, co już jest wyraźne i określone.

## OGŁOSZENIA.




Redaktor i wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава, 21 Ноября 1901 года. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.